

Gabriel
GARCÍA
MÁRQUEZ
Opowieść rozbitka



Gabriel García Márquez

OPOWIEŚĆ ROZBITKA

OPOWIEŚĆ ROZBITKA KTÓRY DZIESIĘĆ DNI DRYFOWAŁ NA
TRATWIE BEZ JEDZENIA I PICIA, BYŁ OGŁOSZONY
BOHATEREM NARODOWYM, CAŁOWANY PRZEZ KRÓLOWE
PIĘKNOŚCI, OBSYPANY ZŁOTEM PRZEZ AGENCJE
REKLAMOWE, A POTEM ZNIENAWIDZONY PRZEZ WŁADZE
I ZAPOMNIANY NA ZAWSZE

Tytuł oryginału: *Relato de un naufrago*

Przełożył
Rajmund Kalicki

Pierwsze wydanie oryginału
1970

Pierwsze wydanie polskie
1980

Spis treści

Strona tytułowa

HISTORIA TEJ HISTORII

ROZDZIAŁ I

O moich kolegach, którzy zaginęli na morzu
Zaproszeni przez śmierć

ROZDZIAŁ II

Ostatnie minuty na „Słoniu Morskim”
Zaczyna się zabawa
Minuta ciszy

ROZDZIAŁ III

Widzę, jak tonie czterech moich kolegów
Tylko trzy metry!
Sam

ROZDZIAŁ IV

Pierwsza samotna noc na morzu
Wielka noc
Światło dnia powszedniego
Czarny punkt na horyzoncie

ROZDZIAŁ V

Miałem na tratwie kolegę
Zobaczono mnie!
Rekiny zjawiają się o piątej
Kolega na tratwie

ROZDZIAŁ VI

Statek ratunkowy i wyspa ludożerców
Statek na horyzoncie!

Siedem mew

ROZDZIAŁ VII

Rozpaczliwe zabiegi człowieka wygłodzonego

Byłem martwy

Jak smakują buty?

ROZDZIAŁ VIII

Walka z rekinami o rybę

Rekin na tratwie!

Moje biedne ciało

ROZDZIAŁ IX

Kolor wody zaczyna się zmieniać

Pod dobrą gwiazdą

ROZDZIAŁ X

Stracone nadzieje... aż do śmierci

Chcę umrzeć

Tajemniczy korzeń

ROZDZIAŁ XI

W dziesiątym dniu nowe przywidzenie: ziemia

Ziemia!

Ale gdzie leży ten ląd?

ROZDZIAŁ XII

Zmartwychwstanie na dziwnej ziemi

Ślady człowieka

Człowiek, osioł i pies

ROZDZIAŁ XIII

Sześciuset mężczyzn odprowadza mnie do San Juan

Dławiąc się własną historią

Opowieść o fakirze

ROZDZIAŁ XIV

Moje bohaterstwo polegało na tym, że nie dałem się śmierci
Historia pewnego reportażu
Biznes z opowieścią

POSŁOWIE

HISTORIA TEJ HISTORII

28 lutego 1955 r. dowiedzieliśmy się, że ośmiu członków niszczyciela „Caldas”, należącego do kolumbijskiej marynarki wojennej, wypadło za burtę i zaginęło podczas sztormu na Morzu Karaibskim. Okręt płynął z Mobile w Stanach Zjednoczonych, gdzie przechodził remont, do kolumbijskiego portu Cartagena, dokąd przybył bez opóźnienia w dwie godziny po tej tragedii. Natychmiast rozpoczęto poszukiwania rozbitków przy współpracy z jednostkami amerykańskimi ze strefy Kanału Panamskiego, przeprowadzającymi kontrolę wojskową oraz inne miłosierne akcje na południu Karaibów. Po czterech dniach zaniechano poszukiwań i oficjalnie uznano marynarzy za zmarłych. A jednak w tydzień potem jeden z nich, na wpół żywy, pojawił się na jednej z bezludnych plaż północnej Kolumbii, po dziesięciu dniach dryfowania na tratwie bez jedzenia i picia. Nazywał się Luis Alejandro Velasco. Książka ta jest dziennikarskim zapisem tego, co mi opowiedział i co ogłosiłem w miesiąc po katastrofie w bogotańskim dzienniku „El Espectador”.

Nie wiedzieliśmy, ani rozbitek, ani ja, kiedyśmy się starali odtworzyć minuta po minucie jego przygody, że to znojne tropienie da początek nowej przygodzie, która spowoduje nieliczne zamieszanie w kraju, za co on zapłaci własną sławą i karierą, a co mnie mogłoby kosztować skórę. Kolumbią rządziła wówczas wojskowa i folklorystyczna dyktatura generała Gustavo Rojas Pinilli, której dwa szczególnie pamiętne wyczyny to masakra studentów w centrum stolicy, kiedy to policja rozpędziła strzałami spokojną manifestację, oraz zamordowanie przez tajną służbę pewnej, nigdy dotąd nie ustalonej, liczby niedzielnych miłośników korridy, którzy wygwizdali na widowni córkę dyktatora. Prasę cenzurowano, a codziennym utrapieniem dziennikarzy pism opozycyjnych było wynajdywanie tematów wolnych od politycznych skojarzeń, aby czymkolwiek zająć

czytelnika. W „El Espectadorze” odpowiedzialnymi za to chlubne lukiernictwo byli Guillermo Cano, redaktor naczelny, Jose Salgar, zastępca naczelnego, i ja, etatowy reporter. Żaden z nas nie miał jeszcze 30 lat.

Kiedy Luis Alejandro Velasco przyszedł do nas i zapytał, ile byśmy dali za jego opowieść, potraktowaliśmy rzecz tak, jak na to zasługiwała: jako temat wyświechtany. Wojskowi przetrzymali go parę tygodni w Szpitalu Morskim, gdzie mógł rozmawiać tylko z dziennikarzami reżimowymi (i jednym opozycyjnym, który się przebrał za lekarza). Opowieść wiele razy była drukowana we fragmentach, układano ją i zniekształcano, a czytelnicy mieli już chyba dosyć bohatera najmującego się do zachwalania zegarków, jako że jego nie spóźniał się nawet podczas słoty, reklamującego buty, gdyż jego buty były takie mocne, że nie mógł ich podrzeć i zjeść, oraz występującego w wielu innych reklamowych świństwach. Przyznano mu order, wygłaszał przez radio patriotyczne przemówienia, pokazywany był w telewizji jako wzór dla przyszłych pokoleń i obwożony wśród kwiatów i muzyki przez pół kraju po to tylko, by rozdawał autografy i pozwalał się obcałowywać królowym piękności. Zebrał niewielką fortunę. Jeśli zjawiał się teraz u nas, nie proszony, choć kiedyś bardzo go szukaliśmy, to można było sądzić, że nie ma już nic do powiedzenia, że za pieniądze gotów jest zmyślić cokolwiek i że władze dobrze już zadbały o to, aby w swych zwierzeniach nie przekraczał pewnych granic. Odesłaliśmy go tam, skąd przyszedł. Nagle, w jakimś niepojętym odruchu, Guillermo Cano zatrzymał go na schodach, przystał na propozycję i przekazał go mnie. Było to tak, jakby mi wręczył bombę zegarową.

Zdziwiło mnie najpierw, że ten dwudziestoletni chłopak, krępy, o twarzy bardziej przywodzącej na myśl trębacza niż bohatera narodowego, ma wyjątkowy dar opowiadania, umiejętność syntezy i zadziwiająca pamięć, a do tego zachował tyle naturalnej godności, że może się jeszcze podśmiewać z własnego bohaterstwa. W ciągu dwudziestu rozmów trwających codziennie po sześć godzin, podczas których notowałem wszystko i rzucałem podchwytliwe pytania, aby wyłowić sprzeczności, zdołaliśmy stworzyć zwarty i wierny zapis owych dziesięciu dni na morzu. Był tak dokładny i porywający, że

moim jedynym, jako literata, zadaniem było sprawić, aby czytelnik w to wierzył. Nie tylko zresztą z tego powodu uznaliśmy za właściwe opisać wszystko w pierwszej osobie i firmować jego nazwiskiem. W rzeczywistości więc moje nazwisko jawi się przy tym tekście po raz pierwszy.

Zdziwiłem się jeszcze raz – i to było najlepsze – kiedy czwartego dnia poprosiłem Luisa Alejandra Velasco, by opisał burzę, która spowodowała katastrofę. Świadom tego, że jego oświadczenie jest na miarę złota, powiedział z uśmiechem: „Rzecz w tym, że żadnej burzy nie było”. Istotnie: służba meteorologiczna potwierdziła, że i ten luty był na Morzu Karaibskim pogodny i bez burz. Prawdą nigdy dotychczas nie ogłoszoną było to, że na pełnym morzu wiatr silnie przechylił okręt, zerwał się źle zamocowany na pokładzie ładunek i ośmiu członków załogi wypadło za burtę. Ta rewelacja wskazywała na trzy duże wykroczenia: po pierwsze, zabroniony był przewóz towarów niszczycielem; po drugie, z powodu przeciążenia okręt nie był zdolny do manewrowania i wyłowienia rozbitków; i po trzecie, towar pochodził z przemytu: lodówki, telewizory, pralki. Było jasne, że opowieść, podobnie jak niszczyciel, kryje w sobie ładunek polityczny i moralny, jakiego nie spodziewaliśmy się.

Historia ta, podzielona na odcinki, ukazywała się drukiem w ciągu czternastu kolejnych dni. Początkowo same władze celebrowały literackie wyświecenie bohatera. Potem, kiedy wyjawiono całą prawdę, na nic już by się zdało niedopuszczanie do druku całości: nakład gazety wzrósł dwukrotnie, a przed redakcją kłębił się tłum czytelników poszukujących zaległych numerów do kompletu. Dyktatura, zgodnie z tradycją właściwą rządowi kolumbijskim, ograniczyła się do sprostowania nie wykraczającego poza retorykę: w solennym komunikacie zaprzeczyła, jakoby niszczyciel przewoził kontrabandę. Szukając sposobów wsparcia naszych zarzutów, poprosiliśmy Luisa Alejandra Velasco o listę jego okrętowych kolegów, którzy mieli aparaty fotograficzne. Choć wielu spędzało urlopy w różnych miejscach kraju, udało nam się ich odszukać i odkupić zdjęcia robione podczas rejsu. W tydzień po publikacji tej historii w odcinkach ukazała się ona w dodatku nadzwyczajnym w całości, z fotografiami kupionymi od marynarzy. Za grupkami przyjaciół na pełnym morzu

widać było, w sposób nie dopuszczający pomyłki, nawet w przypadku marek fabrycznych, skrzynie z przemycanym towarem. Dyktatura odpowiedziała na ten cios serią drastycznych represji, których uwieńczeniem było, po miesiącach, zamknięcie dziennika.

Mimo nacisków, pogrózek i niezwykle ponętnych prób przekupstwa Luis Alejandro Valesco nie odwołał ani jednej linijki ze swej opowieści. Musiał odejść z marynarki, jedyne miejsce, gdzie robił to, co umiał, i zagubił się w niepamięci dnia powszedniego. Nim upłynęły dwa lata, dyktatura upadła, a Kolumbia zdała się na łaskę innych rządów, lepiej ubranych, choć wcale przez to nie sprawiedliwszych, podczas gdy ja, w Paryżu, rozpoczynałem swoje błędne i trochę nostalgiczne wygnanie, tak bardzo przypominające dryfowanie tratwy. Wszelki słuch po samotnym rozbitku zaginął, aż przed kilkoma miesiącami jakiś zabłąkany dziennikarz spotkał go za biurkiem w pewnej firmie autobusowej. Widziałem jego zdjęcie: przybyło mu lat i ciała, i widać było, że życie nie patyczkowało się z nim, choć nie opuściła go pogodna sława bohatera, który miał odwagę wysadzić w powietrze własny pomnik.

Piętnaście lat nie zaglądałem do tej opowieści. Wydaje mi się, że zasługuje chyba na druk, choć nie w pełni rozumiem, jaki może być z niej pożytek. Jeśli ukazuje się obecnie w formie książkowej, to tylko dlatego, że powiedziałem tak nie przemyślawszy do końca całej sprawy, a nie jestem człowiekiem łatwo zmieniającym zdanie. Przygnębia mnie myśl, że wydawców obchodzi nie tyle wartość tekstu, co nazwisko, jakim jest on opatrzony, które ku memu utrapieniu pokrywa się z nazwiskiem pewnego modnego pisarza. Na szczęście są książki należące nie do tych, co je piszą, ale do tych, którzy na nie cierpią, i ta jest jedną z nich. Tym samym honorarium przypadnie temu, kto na nie zasłużył: nieznanemu rodakowi, który musiał dziesięć dni męczyć się na tratwie bez jedzenia i picia, aby książka ta mogła powstać.

G.G.M.
Barcelona, luty 1970 r.

ROZDZIAŁ I

O moich kolegach, którzy zaginęli na morzu

22 lutego oznajmiono nam, że wracamy do Kolumbii. Staliśmy osiem miesięcy w Mobile, stan Alabama, USA, gdzie na niszczycielu kolumbijskiej marynarki wojennej „Caldas” dokonywano naprawy sprzętu elektronicznego oraz uzbrojenia. W tym czasie my, członkowie załogi, przechodziliśmy specjalne przeszkolenie. W dniach wolnych robiliśmy to, co wszyscy marynarze na lądzie: chodziliśmy z dziewczynami do kina, a potem zbieraliśmy się w portowej tawernie Joe Palloka, gdzie piliśmy whisky i od czasu do czasu wywoływaliśmy burdy.

Moja dziewczyna nazywała się Mary Address, poznałem ją przez babkę innego marynarza. Choć z dużą łatwością uczyła się hiszpańskiego, chyba nigdy nie dowiedziała się, że moi koledzy przezywają ją Maria Dirección^[1]. Gdy tylko miałem wolne, zapraszałem ją do kina, ale zwykle wolała iść na lody. Porozumiewaliśmy się moją łamaną angielszczyzną i jej słabym hiszpańskim, lecz zawsze się rozumieliśmy; i w kinie, i na lodach.

Raz tylko nie poszedłem do kina z Mary; było to tego wieczoru, kiedyśmy oglądali *Bunt na „Caine”*. Kilku moim kolegom powiedziano, że idzie właśnie dobry film o życiu na trałowcach. Dlatego poszliśmy go zobaczyć. Najlepszy w tym filmie był jednak nie sam poławiacz min, ale burza. Zgodziliśmy się wszyscy, że w razie takiego sztormu najlepiej jest zmienić kurs statku, jak to robili buntownicy. Ani ja, ani też żaden z moich kolegów nie przeżył nigdy podobnej burzy na morzu, więc sztorm ten wywarł na nas najsilniejsze wrażenie. Kiedyśmy wrócili na noc, marynarz Diego Velazquez, bardzo przejęty filmem oraz myślą, że za kilka dni będziemy już na

pełnym morzu, zapytał: „A gdyby tak nam przytrafiło się coś podobnego?”

Przyznaję, że i ja byłem pod silnym wrażeniem filmu. W ciągu ośmiu miesięcy odzwyczaiałem się od morza. Nie bałem się, bo instruktor uczył nas, jak się mamy ratować podczas katastrofy. A jednak niepokój, jaki czuliśmy tego wieczoru, po obejrzeniu *Buntu na „Caine”*, nie był normalny.

Nie chcę przez to powiedzieć, że od tamtej chwili przeczuwałem katastrofę. Prawdą jest jednak, że nigdy się tak nie bałem przed rejsem jak właśnie wtedy. W Bogocie, kiedy byłem dzieckiem i oglądałem ilustracje w książkach, nie przychodziło mi do głowy, że śmierć może dopaść kogoś na morzu. Wprost przeciwnie, myślałem zawsze o nim z dużą ufnością. I od chwili wstąpienia do marynarki wojennej, przed prawie dwoma laty, nie miałem nigdy w czasie rejsu żadnych obaw.

Nie wstydzę się jednak przyznać do tego, że po obejrzeniu *Buntu na „Caine”* czułem coś w rodzaju lęku. Leżąc na wznak w koi umieszczonej w kubryku najwyżej, myślałem o swojej rodzinie i o podróży, jaka nas czeka, nim dobijemy do Cartageny. Nie mogłem zasnąć. Z rękoma pod głową słuchałem łagodnych uderzeń wody o nabrzeże i spokojnego oddechu czterdziestu marynarzy śpiących w jednym pomieszczeniu. Pod moją koją marynarz 1 klasy, Luis Rengifo, chrapał jak puzon. Nie wiem, co mi się śniło, ale na pewno nie spałbym tak spokojnie, gdybym wiedział, że za osiem dni pójdę na dno.

Niepokój dręczył mnie cały tydzień. Dzień podróży zbliżał się z alarmującą szybkością, a ja szukałem uspokojenia w rozmowach z kolegami. Niszczyciel „Caldas” był gotów do drogi. W tych dniach więcej mówiliśmy o naszych rodzinach w Kolumbii i o planach po powrocie. Okręt z wolna wypełniały prezenty, jakie wieźliśmy do domu: głównie radia, lodówki, pralki i grzejniki. Ja miałem radio.

Termin opuszczenia portu był coraz bliższy i dlatego – nie mogąc otrząsnąć się z niepokoju – podjąłem decyzję: gdy tylko zawiniemy do Cartageny, odejdę z marynarki. Nie będę się więcej narażał na morzu. Ostatniego wieczoru przed rejsem poszedłem pożegnać się z Mary, której chciałem się zwierzyć z moich obaw oraz postanowienia. Nie zrobiłem tego, bo obiecałem jej wrócić, a nie uwierzyłaby mi, gdybym

powiedział, że rzucam pływanie. Jediną osobą, której wyjawilem swój plan, był mój serdeczny przyjaciel, marynarz 2 klasy Ramon Herrera, który wyznał mi, że i on postanowił zmustrować, gdy tylko dobijemy do Cartageny. Dzieląc się wątpliwościami, poszliśmy z marynarzem Diego Velazquezem na pożegnalną whisky do Joe Palloka.

Mieliśmy wypić po jednej, a skończyło się na pięciu butelkach. Dziewczyny, z którymi spędzaliśmy prawie wszystkie wolne wieczory, wiedziały już o naszym wyjeździe i postanowiły pożegnać nas, upić się i wyplakać w dowód wdzięczności. Dyrygent orkiestry, poważny mężczyzna w okularach, w których nie wyglądał na muzyka, zagrał na naszą cześć wiązaną mamb i tang, przekonany widzieć, że to melodie kolumbijskie. Nasze babki płakały i ciągnęły whisky po półtora dolara za butelkę.

W ostatnim tygodniu płacono nam trzykrotnie, więc postanowiliśmy nie żałować sobie. Ja, bo było mi jakoś nieswojo i chciałem się upić, Ramon Herrera, bo jak zawsze był wesoły, pochodził z Arjona, umiał grać na perkusji i miał szczególny dar naśladowania modnych piosenkarzy.

Tuż przed opuszczeniem lokalu podszedł do naszego stolika jakiś amerykański marynarz i poprosił Ramona Herrere o zgodę na jeden taniec z jego dziewczyną, potężną blondynką, która najmniej piła i najwięcej płakała, i to szczerze! Poprosił po angielsku, na co Ramón Herrera potrząsnął nim i ryknął po hiszpańsku: „Za cholerę nie rozumiem!”.

Była to jedna z najlepszych drak w Mobile, z krzesłami połamanymi na głowach, policją i patrolami wzywanyymi na pomoc przez radio. Ramón Herrera, któremu dwukrotnie udało się porządnie trzepnąć Amerykanina w kark, wrócił na statek o pierwszej w nocy, wyśpiewując jak Daniel Santos. Powiedział, że ostatni raz mustruje. I rzeczywiście był to ostatni raz.

O trzeciej nad ranem 24 lutego niszczyciel „Caldas” wypłynął z Mobile w kierunku Cartageny. Wszyscy byliśmy szczęśliwi, że wracamy do domu. Wszyscy wieźliśmy prezenty. Mat 1 klasy, Miguel Ortega, artylerzysta, cieszył się chyba najbardziej. Myślę, że nie było marynarza bardziej statecznego niż mat Ortega. W ciągu ośmiomiesięcznego pobytu w Mobile nie roztrwonił ani dolara.

Wszystkie otrzymane pieniądze wydał na prezenty dla żony czekającej w Cartagenie. Tego ranka, kiedyśmy wracali na okręt, mat Miguel Ortega stał na pokładzie i opowiadał właśnie o swojej żonie i dzieciach, co nie było jakimś szczególnym zbiegiem okoliczności, gdyż nigdy nie mówił o niczym innym. Wiózł lodówkę i pralkę automatyczną, i radio, i grzejnik. Dwanaście godzin potem mat Miguel Ortega leżał w koi zwalony przez chorobę morską. A siedemdziesiąt dwie godziny później spoczywał martwy na dnie morza.

Zaproszeni przez śmierć

Kiedy statek odpływa, pada komenda: „Załoga na stanowiska manewrowe!”. Każdy pozostaje na swoim miejscu, aż okręt wypłyne z portu. Stałem w milczeniu na stanowisku przy wyrzutni torpedowej i widziałem, jak we mgle giną światła Mobile, ale nie myślałem o Mary. Myślałem o morzu. Wiedziałem, że jutro będziemy w Zatoce Meksykańskiej i że o tej porze jest szlak niebezpieczny. Aż do świtu nie widziałem porucznika Jaime Martineza Diago, drugiego oficera, który zginął w tej katastrofie. Był mężczyzną wysokim, silnym i milczącym, którego rzadko widywałem. Wiedziałem, że pochodzi z Tolima i jest równym chłopem.

Widziałem natomiast nad ranem podoficera 1 klasy Julia Amadora Caraballo, młodszego bosmana, wysokiego i postawnego, który przeszedł koło mnie, popatrzył chwilę na ostatnie światła Mobile i odszedł na swoje stanowisko. Myślę, że widziałem go wtedy po raz ostatni.

Nikt z członków załogi „Caldas” nie okazywał swej radości równie hałaśliwie jak podoficer Elias Sabogał, szef maszynistów. Był prawdziwym wilkiem morskim. Nieduży, krępy, ogorzały i bardzo rozmowny. Miał blisko 40 lat i myślę, że większość z nich przegadał.

Podoficer Sabogał miał powody, by się cieszyć bardziej od innych. W Cartagenie czekała na niego żona i sześcioro dzieci. Ale widział tylko pięcioro: najmłodsze urodziło się, kiedy już staliśmy w Mobile.

Aż do świtu rejs przebiegał w całkowitym spokoju. W ciągu godziny oswoiłem się znowu z morzem. Światła Mobile ginęły w oddali pośród

mgieł spokojnego dnia, a na wschodzie widać było słońce, które z wolna zaczynało się podnosić. Nie czułem niepokoju, byłem tylko zmęczony. Całą noc nie zmrużyłem oka. Chciało mi się pić. I dokuczała zgaga po whisky.

O szóstej rano wyszliśmy z portu. Wtedy padł rozkaz: „Zmiana manewrowa, rozejść się! Wachtowi na stanowiska!”. Gdy tylko usłyszałem tę komendę, ruszyłem do kubryku. Pod moją koją siedział Luis Rengifo i tarł oczy, żeby odpędzić sen.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał. Odpowiedziałem, że właśnie wyszliśmy z portu. Potem wdrapałem się na koję i próbowałem zasnąć.

Luis Rengifo był prawdziwym majtkiem. Choć urodził się w Choco, z dala od morza, miał morze we krwi. Kiedy „Caldas” wpłynął do stoczni remontowej w Mobile, Luis Rengifo nie był członkiem naszej załogi. Mieszkał w Waszyngtonie, gdzie przechodził szkolenie w zakresie uzbrojenia. Był poważny, pracowity i mówił po angielsku równie dobrze jak po hiszpańsku.

15 marca otrzymał w Waszyngtonie dyplom inżyniera budownictwa lądowego i morskiego. Tutaj w 1952 r. ożenił się z jakąś damą z Dominikany. Kiedy zakończono remont niszczyciela, Luis Rengifo opuścił Waszyngton i został wcielony do naszej załogi. Powiedział mi na parę dni przed opuszczeniem Mobile, że pierwszym, co zrobi w Kolumbii, będzie przyspieszenie starań o przyjazd żony do Cartageny.

Luis Rengifo dawno nie pływał, więc byłem przekonany, że zwali go choroba morska. Pierwszego ranka na morzu, kiedy się ubierałem, zapytał mnie:

- Jeszcze się nie pochorowałeś?
- Odparłem, że nie, a wtedy Rengifo powiedział:
- Za dwie albo trzy godziny będziesz leżał z jęzorem na brodzie.
- Chyba ty – odpowiedziałem, a on na to:
- W dniu, w którym będę rzygać, porzyga się chyba całe morze.

Leżałem na koi i próbowałem zasnąć, kiedy nagle przypomniała mi się burza. Ożyły lęki z poprzedniego wieczoru. Pełen obaw spojrzałem w stronę, gdzie Luis Rengifo kończył ubieranie się, i powiedziałem:

– Uwważaj! Lepiej nie kusić licha takim gadaniem.

[\[1\]](#) Maria Adres (hiszp.) (przyp. tłum.)

ROZDZIAŁ II

Ostatnie minuty na „Słoniu Morskim”

„Już jesteśmy w zatoce”, powiedział jeden z kolegów, kiedy wstawałem na śniadanie 26 lutego. Poprzedniego dnia trochę się obawiałem pogody w Zatoce Meksykańskiej. Ale niszczyciel, choć się lekko kołysał, sunął gładko. Pomyślałem z radością, że moje obawy były bezpodstawne, i wyszedłem na pokład. Kontury brzegu zatarły się. Wokół nas rozciągało się tylko zielone morze i błękitne niebo. A jednak na śródkręciu siedział blady i osowiały Miguel Ortega i walczył z chorobą morską. Zaczęło się to znacznie wcześniej. Zanim jeszcze zniknęły światła Mobile, tak że w ciągu ostatniej doby nie mógł już utrzymać się na nogach, choć na morzu nie był nowicjuszem.

Kiedyś trafił nawet do Korei na fregacie „Almirante Padilla”. Wiele pływał i znał morze. A mimo to, choć w zatoce panował spokój, trzeba mu było teraz pomagać, aby mógł pełnić służbę. Wyglądał jak konający. Nie przyjmował żadnych posiłków, więc sadzaliśmy go, ja i jeszcze paru kolegów z wachty, na rufie lub śródkręciu, aż padł rozkaz, żeby go zabrać do kubryku. Wtedy zwał się na koję, wystawiał głowę i czekał, aż mu się zbierze na wymioty.

Myślę, że to Ramon Herrera powiedział mi nocą 26, że na Morzu Karaibskim będzie niewesoło. Zgodnie z naszymi obliczeniami mieliśmy wyjść z Zatoki Meksykańskiej po północy. Na swoim stanowisku przy wyrzutni torpedowej rozmyślałem pogodnie o naszym powrocie do Cartageny. Noc była widna, a niebo wysokie, kopulaste i usiane gwiazdami. Od chwili gdy wstąpiłem do marynarki, lubiłem rozpoznawać gwiazdozbiory. Tej nocy mogłem to robić do woli, podczas gdy niszczyciel „Caldas” łagodnie sunął po Morzu Karaibskim.

Myślę, że stary marynarz, taki co opłynął świat, poznaje morze po ruchach statku. Doświadczenie ze szlaku, gdzie przeszedłem chrzest morski, mówiło mi, że jesteśmy na otwartych wodach. Spojrzałem na zegarek. Było trzydzieści jeden minut po północy 27 lutego. Gdyby nawet okręt nie kiwało, wiedziałbym, że jesteśmy na Morzu Karaibskim. Ale kiwało. Ja, choć nigdy na morzu nie chorowałem, poczułem się nieswojo. Miałem jakieś dziwne przeczucie. I nie wiadomo dlaczego przypomniał mi się nagle mat Miguel Ortega leżący niżej w swojej koi i wypluwający wnętrzności.

O szóstej nad ranem niszczycielem kołysało jak łupinką.

Na koi pode mną Luis Rengifo nie spał.

– Gruby – zapytał – jeszcze się nie pochorowałeś?

Odparłem, że nie. Ale zwierzyłem się mu ze swoich niepokojów. Rengifo, który, jak już powiedziałem, był inżynierem oraz pracowitym i doświadczonym marynarzem, wyliczył mi wtedy powody, dla których nie było najmniejszych obaw, aby „Caldasa” spotkało na Morzu Karaibskim coś złego. „To nie okręt, ale prawdziwy słoń morski”, powiedział. I przypomniał mi, że w czasie wojny na tych samych wodach niszczyciel kolumbijski zatopił niemiecką łódź podwodną.

– To pewny okręt – mówił Luis Rengifo. A ja, leżąc w koi i nie mogąc zasnąć od tego kiwania, poczułem się po jego słowach raźniej. Wiatr z lewej burty wiał coraz silniej, więc zacząłem sobie wyobrażać, jak będzie się trzymał „Caldas” na wysokiej fali. I w tym momencie przypomniał mi się Bunt na „Caine”.

Chociaż pogoda w ciągu dnia nie zmieniła się, podróż przebiegała normalnie. Na wachcie myślałem o tym, co zrobię po powrocie do Cartageny. Napiszę do Mary. Będę do niej pisał dwa razy w tygodniu, bo nigdy nie zaniedbywałem korespondencji. Od kiedy wstąpiłem do marynarki, co tydzień pisałem do rodziny w Bogocie. Pisałem też często długie listy do moich przyjaciół z dzielnicy Olaya. A zatem będę pisał do Mary, myślałem i obliczyłem, że od Cartageny dzielą nas już tylko godziny: dokładnie 24 godziny. Była to moja przedostatnia wachta.

Ramon Herrera pomógł mi zawlec mata Miguela Ortegę do koi.

Było z nim coraz gorzej. Od opuszczenia Mobile przed trzema dniami nie wziął nic do ust. Nie potrafił wydusić z siebie ani jednego słowa i miał zieloną, zmienioną nie do poznania twarz.

Zaczyna się zabawa

Zabawa zaczęła się o dziesiątej wieczorem. Przez cały dzień okrętem kiwało, ale nie tak jak w nocy 27 lutego, kiedy to, wybity ze snu, myślałem w koi ze strachu o ludziach pełniących wachtę na pokładzie. Wiedziałem, że nikt z marynarzy leżących tutaj, w kubryku, nie może zasnąć. Na krótko przed dwunastą zapytałem Luisa Rengifo, sąsiada z dołu:

– Jeszcze się nie pochorowałeś?

Jak przypuszczałem, Luis Rengifo także nie spał. Mimo kołysania nie stracił dobrego humoru. Powiedział:

– Już ci mówiłem, że w dniu, w którym będę rzygał, porzyga się chyba całe morze.

Zdanie to powtarzał często. Ale tej nocy prawie nie miał czasu go dokończyć.

Mówiłem już, że byłem jakiś nieswój. Mówiłem też, że czułem coś w rodzaju strachu. Nie mam jednak wątpliwości, co poczułem o północy, kiedy przez głośniki podano komendę: „Cała załoga na lewą burłę”.

Wiedziałem, co znaczy ten rozkaz. Okręt przechylał się niebezpiecznie na prawą burłę i chodziło o przywrócenie stateczności naszym ciężarem. Po raz pierwszy po dwóch latach pływania naprawdę bałem się morza. Wiatr wył na górze, gdzie służba pokładowa z pewnością mokła i dygotała z zimna.

Gdy tylko usłyszałem rozkaz, wyskoczyłem z koi. Luis Rengifo podniósł się spokojnie i ruszył do jednej z wolnych pryczy przy lewej burcie, należących do wachtowych. Chwyając się koi próbowałem jakoś zrobić kilka kroków i w tej chwili przypomniałem sobie Miguela Orteę. Nie mógł się ruszyć. Kiedy usłyszał rozkaz, chciał się podnieść, ale tylko zwałił się jak długi na koi, zgnębiony chorobą

morską i wyczerpaniem. Pomogłem mu wstać i ułożyłem na jednej z prycz przy lewej burcie. Zduszonym głosem powiedział mi, że czuje się bardzo ile.

– Postaramy się, żebyś nie miał służby – odparłem. Może to zakrawać na niesmaczny żart, ale gdyby Miguel Ortega został w kubryku, żyłby do dzisiaj.

Po nieprzespanej nocy, o czwartej nad ranem 28 lutego, zebrała się na rufie nasza sześćoosobowa zmiana. Także Ramón Herrera, mój stały kumpel z wachty. Podoficerem dyżurnym był Guillermo Rozo. Była to nasza ostatnia wachta na okręcie. Wiedziałem, że o drugiej po południu będziemy w Cartagenie. Pomyślałem, że gdy tylko zdam służbę, położę się, żeby po ośmiomiesięcznej nieobecności jeszcze tej nocy móc się zabawić na łądzie. O piątej trzydzieści nad ranem dokonałem z jungą przeglądu dolnych pomieszczeń okrętu. O siódmej zeszliśmy na śniadanie. O ósmej przyszli nasi zmiennicy. Dokładnie o tej właśnie godzinie przekazałem ostatni raz służbę; nic nowego, choć bryza wzmagala się i coraz wyższe fale rozbijały się o nadburcie i zalewały pokład.

Na rufie zastałem Ramona Herrere. Był tam również, jako dyżurny ratownik, Luis Rengifo ze słuchawkami na uszach. Na śródokręciu leżał zmordowany nieustannymi mdłościami mat Miguel Ortega. W tym miejscu kiwanie mniej dokuczało. Porozmawiałem chwilę z marynarzem 2 klasy Eduardem Castillo, właścicielem sklepu w Bogocie, człowiekiem samotnym i bardzo powściągliwym. Nie pamiętam, o czym mówiliśmy. Wiem tylko, że nie widziałem go potem aż do chwili, gdy kilka godzin później pogrążył się w morzu.

Ramón Herrera ustawiał jakieś pudła i starając się nimi osłonić, próbował zasnąć. Przy takiej fali nie sposób było odpoczywać w kubryku. Wcisnęliśmy się, Ramón Herrera i ja, między lodówki, pralki i piecyki silnie zamocowane na rufie, tak aby nie porwała nas fala. Wyciągnięty na plecach patrzyłem w niebo. Czułem się teraz, leżąc tak, spokojniejszy, przekonany, że za parę godzin będziemy w Cartagenie. Nie było burzy; dzień był jasny, widoczność doskonała, a niebo intensywnie błękitne. Nie gniotły mnie teraz nawet buty, gdyż po zejściu ze służby zmieniłem je na pantofle na gumie.

Minuta ciszy

Luis Rengifo zapytał mnie o godzinę. Była jedenasta trzydzieści. Od godziny okręt zaczął się kłaść i przechylać niebezpiecznie na prawą burtę. Z głośników powtórzono wczorajszą komendę: „Cała załoga na lewą burtę”. Ramón Herrera i ja nie ruszyliśmy się, bo leżeliśmy właśnie po tej stronie.

Pomyślałem o macie Ortedze, którego przed chwilą widziałem przy prawej burcie, i prawie natychmiast ujrzałem, jak kiwając się idzie ku lewej. Zwalił się tam znękany morską chorobą. W tym momencie okręt straszliwie się przechylił, położył się cały na burtę. Wstrzymałem oddech. Olbrzymia fala przewaliła się z hukiem nad nami i zmoczyła nas tak, jakbyśmy dopiero co wyszli z wody. Bardzo wolno, z trudem niszczyciel wrócił do normalnego położenia. Wachtowy Luis Rengifo posiniał. Wykrztusił nerwowo:

– Cholera! Ten okręt kładzie się i ani myśli podnosić. Pierwszy raz widziałem Luisa Rengifo zdenerwowanego. Obok mnie Ramón Herrera, zamyślony, przemoknięty do suchej nitki, nawet nie otworzył ust. Zapanowała głucha cisza. Po chwili Herrera powiedział:

– Jak tylko każą ciąć liny, żeby wywalić ładunek za burtę, zrobię to pierwszy.

Była za dziesięć dwunasta.

Ja również myślałem, że lada moment rozkażą przeciąć liny trzymające ładunek. Nazywają to „pozbywaniem się balastu”. Radia, lodówki i piecyki poleciałyby za burtę, gdyby tylko podano taką komendę. Pomyślałem, że musiałbym wtedy zejść do kubryku, bo teraz, wciśnięci między lodówki i piecyki, byliśmy bezpieczni. Bez nich zmyłaby nas fala.

Okręt, choć bronił się przed falami, kładł się coraz bardziej. Ramón Herrera rozciągnął brezent i ukrył się pod nim. Nowa fala, większa od poprzedniej, znowu rozbiła się nad nami, osłoniętymi teraz plandeką. Ukryłem głowę w dłoniach, kiedy fala przewalała się, a w pół minuty potem głośniki zachrypiały.

„Każą wyrzucić ładunek”, przemknęło mi przez myśl, ale komenda, obwieszczona głosem pewnym i spokojnym, brzmiała inaczej:

„Wszyscy na pokładzie założyć pasy ratunkowe”.

Luis Rengifo przytrzymał spokojnie jedną ręką słuchawki, a drugą wciągał pas. Po każdej wysokiej fali czułem najpierw wielką pustkę, a potem głęboką ciszę. Zobaczyłem, że Luis Rengifo, już w pasie, znowu zakłada słuchawki. Wtedy przymknąłem oczy i usłyszałem wyraźne tykanie własnego zegarka.

Słuchałem go przez blisko minutę. Ramón Herrera nie ruszał się. Pomyślałem, że jest już chyba za kwadrans dwunasta. Za dwie godziny w Cartagenie. Przez sekundę wydawało się, że okręt zawisł w powietrzu. Wyciągnąłem rękę, by sprawdzić godzinę, ale w tym momencie nie widziałem już ani swojej dłoni, ani ramienia, ani zegarka. Nie zauważyłem fali. Poczułem, że cały okręt kładzie się, a ładunek, o który byłem oparty, zjeżdża w bok. W ułamku sekundy poderwałem się. Woda sięgała mi do szyi. Ujrzałem, jak Luis Rengifo z wytrzeszczonymi oczyma, zielony i milczący próbuje ratować się, trzymając w górze słuchawki. Wtedy właśnie woda przykryła mnie całego i zacząłem płynąć ku górze.

Starając się wydostać na powierzchnię, płynąłem jedną, dwie, trzy sekundy. Wciąż w górę. Brakowało mi tchu. Dusłem się. Próbowałem złapać się ładunku, ale ładunku nie było. Niczego już nie było. Kiedy wypłynąłem na powierzchnię, zobaczyłem wokół siebie tylko wodę. W sekundę potem, w odległości stu metrów, wyłonił się z fal niszczyciel ociekający wodą jak okręt podwodny. Dopiero wtedy zrozumiałem, że wypadłem za burtę.

ROZDZIAŁ III

Widzę, jak tonie czterech moich kolegów

Pierwsze moje wrażenie było takie, że oto znalazłem się zupełnie sam na środku morza. Unosząc się na powierzchni, widziałem, jak druga fala uderza w niszczyciel, a ten w odległości mniej więcej dwustu metrów od miejsca, gdzie się znajdowałem, runął w topiel i znikł mi z oczu. Pomyślałem, że zatonął. W chwilę potem, jakby na potwierdzenie moich domysłów, pojawiły się wokół mnie skrzynie z towarami, jakimi załadowaliśmy okręt w Mobile. Unosiłem się na wodzie między pakami z odzieżą, radiami, lodówkami i całą masą sprzętu domowego, kołyszącego się bezładnie od uderzeń fal. Nie miałem wtedy najmniejszego pojęcia, co się dzieje. Trochę odruchowo chwyciłem się jakichś pływających skrzynek i bezmyślnie zacząłem się gapić na morze. Poza silną falą spowodowaną przez bryzę i towarami rozrzuconym na wodzie nic nie wskazywało na morską katastrofę.

Nagle z niedaleka usłyszałem jakieś krzyki. Wśród ostrego świstu wiatru wyraźnie poznałem głos Julia Amadora Caraballo, wysokiego i postawnego drugiego bosmana, który wołał do kogoś:

– Złap się tutaj, pod pasem!

Dopiero wtedy ocknąłem się jakby z tego głębokiego, jednodominutowego letargu. Zrozumiałem, że nie jestem na morzu sam. Tam w odległości paru metrów pływali i nawoływali się moi koledzy. Szybko zacząłem się zastanawiać. Nie mogłem płynąć w żadnym kierunku. Wiedziałem, że jestem prawie 200 mil od Cartageny, ale straciłem orientację. Mimo to nie czułem jeszcze strachu. Przez chwilę myślałem, że mógłbym tak trzymać się skrzyni bez końca, aż nadejdzie pomoc. Uspokajało mnie, że obok inni marynarze są w podobnej sytuacji. Wtedy zobaczyłem tratwę.

A właściwie dwie obok siebie, jedna w odległości chyba siedmiu metrów od drugiej. Pojawiły się niespodzianie na grzbiecie fali od strony, skąd dochodziły nawoływania kolegów. Wydało mi się dziwne, że żadnemu z nich nie udało się ich zatrzymać. W sekundę potem jedna tratwa zniknęła mi z oczu. Zawahałem się, czy ryzykować i płynąć do drugiej, czy raczej zostać, uczepiony pewnie skrzyni. Nim jednak zdążyłem się namyślić, już płynąłem ku tej ostatniej widocznej tratwie, coraz odleglejszej. Płynąłem chyba trzy minuty. Na moment straciłem ją z oczu, ale starałem się nie gubić kierunku. Nagle uderzenie fali wyrzuciło ją tuż obok mnie, białą, wielką i pustą. Złapałem się silnie linek i próbowałem wskoczyć do środka. Udało mi się to dopiero za trzecim razem. Już w środku – zasapany, smagany bezlitosnym i zimnym wiatrem – podniosłem się z trudem. Zobaczyłem niedaleko tratwy trzech moich kolegów próbujących do niej dotrzeć.

Poznałem ich natychmiast. Eduardo Castillo, sklepikarz, trzymał się kurczowo szyi Julia Amadora Caraballo. Ten miał na sobie pas ratunkowy, jako że w czasie wypadku pełnił służbę. „Trzymaj się mocno, Castillo!”, wołał. Pływali między resztkami ładunku, w odległości około dziesięciu metrów.

Po drugiej stronie był Luis Rengifo. Przed paroma minutami widziałem go na okręcie, jak starał się ratować przed falą ze słuchawkami trzymanymi w prawej dłoni. Z właściwym sobie spokojem, z ufnością dobrego marynarza, jak wówczas gdy mówił, że prędzej dostanie mdłości morze niż on sam, ściągnął koszulę, żeby lżej mu było płynąć, ale stracił pas ratunkowy. Gdybym go nawet nie widział, poznałbym po krzyku:

– Gruby, wiosłuj w tę stronę!

Szybko chwyciłem wiosła i próbowałem zbliżyć się do nich. Julio Amador z Eduardem Castillo mocno uczepionym szyi podpływał do tratwy. Znacznie dalej ujrzałem czwartego kolegę, małego i zrozpaczzonego Ramona Herrere, który trzymając się jakiejś skrzyni dawał znaki ręką.

Tylko trzy metry!

Gdybym się musiał zdecydować, nie wiedziałbym, od którego kolegi zacząć. Ale kiedy zobaczyłem Ramona Herrere, tego od draki w Mobile, wesołego chłopaka z Arjony, z którym jeszcze przed paroma minutami byłem na rufie, zacząłem rozpaczliwie wiosłować. Tratwa miała jednak prawie dwa metry długości. Była bardzo ciężka na tym wzburzonym morzu i musiałem wiosłować pod wiatr. Myślę, że udało mi się posunąć tylko o metr. Zrozpaczony rozejrzałem się dookoła i już Ramón Herrera znikł z powierzchni. Tylko Luis Rengifo pewnie płynął do tratwy. Byłem przekonany, że dotrze do niej. Słuchałem go, gdy chrapał jak puzon pod moją koją, i byłem pewny, że jego spokój jest silniejszy od morza.

Natomiast Julio Amador usiłował zmusić Eduarda Castillo, aby ten trzymał się jego szyi. Byli niecałe trzy metry ode mnie. Pomyślałem, że jak się zbliżą jeszcze trochę, będę mógł wysunąć wiosło, by je schwycili, ale w tym momencie olbrzymia fala uniosła tratwę w górę i zobaczyłem z jej olbrzymiego grzbietu maszt oddalającego się niszczyciela. Kiedy znowu opadłem, Julio Amador znikł z Eduardem Castillo uczeponym jego szyi. Tylko Luis Rengifo w odległości dwóch metrów spokojnie płynął dalej ku tratwie.

Nie wiem, dlaczego zrobiłem rzecz absurdalną: wiedząc, że nie mogę się poruszać, wepchnąłem wiosło do wody, jakbym chciał nie dopuścić do ucieczki tratwy, jakbym próbował zatrzymać ją w miejscu. Luis Rengifo, zmęczony, przystanął na chwilę, podniósł rękę jak wówczas, gdy trzymał słuchawki, i jeszcze raz zawołał:

– Wiosłuj w tę stronę, gruby!

Wiatr zaciął wciąż z tego samego kierunku. Odkrzyknąłem, że nie mogę wiosłować pod wiatr, żeby zdobył się na jeszcze jeden wysiętek, ale miałem wrażenie, że nie usłyszał mnie. Skrzynie z towarem znikły, a tratwa uderzana falami tańczyła na wszystkie strony. W jednej chwili Luis Rengifo znalazł się w odległości pięciu metrów i straciłem go z oczu. Pojawił się jednak z drugiej strony, jeszcze trzymał się jakoś, nurkował, żeby nie dać się porwać fali. Ja stałem teraz z podniesionym wiosłem, w nadziei, że zbliży się na tyle, by je złapać. Zauważyłem jednak, że traci siły, że ogarnia go rozpacz. Jeszcze raz krzyknął, pogrążając się w wodzie:

– Gruby!... Gruby!...

Próbowałem wiosłować, ale podobnie jak za pierwszym razem nic z tego nie wyszło. Wyteżyłem wszystkie siły, żeby Luis Rengifo mógł schwycić się wiosła, ale uniesiona ręka, która przed paroma minutami próbowała nie dopuścić do zamoczenia się słuchawek, znikła w tej chwili na zawsze w odległości mniejszej niż dwa metry od wiosła.

Nie wiem, jak długo stałem, starając się utrzymać na tratwie równowagę, z podniesionym wiosłem. Rozglądałem się po morzu. Czekałem, że lada chwila ukaze się ktoś na powierzchni. Ale na morzu nie było żywej duszy, a wiatr coraz silniejszy zawodził i szarpał moją koszulę. Ładunek znikł. Maszt, coraz odleglejszy, świadczył, że niszczyciel nie zatonął, jak początkowo sądziłem. Poczuję się spokojniejszy, pomyślałem, że wkrótce po mnie przyplyną. Pomyślałem też, że któremuś z kolegów udało się złapać drugą tratwę. Niby dlaczego nie miało tak być. Nie były to tratwy z wyposażeniem, bo prawdę mówiąc, żadna tratwa na niszczycielu nie miała wyposażenia. Było ich razem sześć, oprócz łodzi i szalup. Wydało mi się zupełnie naturalne, że paru kolegom udało się jak mnie dotrzeć do tratwy i że, być może, już nas szukają.

Nagle zdałem sobie sprawę, że świeci słońce. Rozpalone i metaliczne jak w południe. Odurzony, nie wróciwszy jeszcze w pełni do siebie, spojrzałem na zegarek. Była dokładnie dwunasta.

Sam

Kiedy ostatni raz na okręcie Luis Rengifo pytał mnie o godzinę, było pół do dwunastej. Sprawdziłem potem czas o jedenastej pięćdziesiąt, było to jeszcze przed katastrofą. Kiedy spojrzałem na zegarek na tratwie, była punkt dwunasta. Zdawało mi się, że wszystko to wydarzyło się bardzo dawno temu, a w rzeczywistości upłynęło zaledwie dziesięć minut od chwili, gdy po raz ostatni patrzyłem na zegarek na rufie niszczyciela, gdy wdrapałem się na tratwę i próbowałem ratować kolegów, gdy stałem na niej w bezruchu, patrząc na puste morze, słuchając przejmującego wycia wiatru i myśląc, że upłyną co najmniej dwie albo trzy godziny, zanim mnie wyłowią.

„Dwie albo trzy godziny”, obliczyłem sobie. Wydawało mi się to niewspółmiernie długo jak na samotny pobyt na morzu. Starłem się jednak z tym pogodzić. Nie miałem ani żywności, ani wody i myślałem, że o trzeciej będzie mi dokuczać straszliwe pragnienie. Słońce grzało w głowę i zaczęło przypiekać skórę, stwardniała i wysuszoną od soli. Przy wypadku zgubiłem czapkę, więc zmoczyłem tylko raz jeszcze włosy i usiadłem na tratwie, czekając na ratunek.

Dopiero wtedy poczułem ból w lewym kolanie. Grube spodnie z granatowego drelichu były mokre, i z trudem podwinąłem nogawkę aż za kolano. Kiedy mi się to udało, zdziwiłem się: miałem głęboką ranę w kształcie półksiężyca tuż pod rzepką. Może zawadziłem o reling. A może skaleczyłem się, gdy wpadałem do wody. Wiem tylko, że nie czułem rany aż do momentu, gdy usiadłem na tratwie, a choć piekła mnie trochę, nie krwawiła i była zupełnie sucha, zapewne dzięki morskiej soli. Nie wiedząc, o czym myśleć, zrobiłem przegląd własnych rzeczy. Chciałem wiedzieć, na co mogę liczyć, przebywając samotnie na morzu. Miałem, po pierwsze, dobry zegarek, na który teraz spoglądałem co dwie, trzy minuty. Miałem również, oprócz złotego pierścionka kupionego w Cartagenie w zeszłym roku, łańcuszek z medalikiem Matki Boskiej z Karmelu[2] I także kupiony w Cartagenie od innego marynarza za trzydzieści pięć pesos. W kieszeni nie miałem nic poza kluczami do mojej szafki na okręcie i trzema pocztówkami, jakie dostałem w sklepie w Mobile któregoś dnia w styczniu, kiedyśmy robili z Mary Address zakupy. Ponieważ nie miałem nic do roboty, zacząłem je czytać, by czymkolwiek zająć czas, nim mnie wyłowią. Nie wiem, dlaczego przyszło mi do głowy, że zawierają zaszyfowaną wiadomość, jaką rozbitkowie przekazują w butelce rzuconej do morza. I myślę, że gdybym miał pod ręką butelkę, włożyłbym pocztówki do środka, by zabawić się w rozbitka, aby wieczorem móc opowiedzieć coś zabawnego przyjacielom w Cartagenie.

ROZDZIAŁ IV

Pierwsza samotna noc na morzu

O czwartej po południu wiatr ucichł. Nie widziałem nic poza wodą i niebem i nie miałem żadnego punktu odniesienia, więc dopiero po przeszło dwóch godzinach zdałem sobie sprawę, że tratwa płynie. W rzeczywistości od chwili, gdy się na niej znalazłem, posuwała się przed siebie, popychana bryzą z szybkością większą od tej, jaką bym jej nadał wiosłami. Nie miałem jednak najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku podąża i gdzie się teraz znajduje. Nie wiedziałem, czy tratwa płynie w stronę brzegu, czy też na pełne morze. To ostatnie wydało mi się najbardziej prawdopodobne, bo zawsze wątpiłem, aby morze mogło wyrzucić na ląd rzecz, która dryfowała 200 mil, zwłaszcza jeśli jest to coś równie ciężkiego jak człowiek na tratwie.

Przez pierwsze dwie godziny byłem myślami, minuta po minucie, na niszczycielu. Zastanawiałem się, czy zatelegrafowali już do Cartageny, czy podali dokładną pozycję miejsca katastrofy, czy natychmiast wysłano samoloty i helikoptery na ratunek. Obliczyłem, że za godzinę samoloty powinny krążyć nad moją głową.

O trzynastej usiadłem na tratwie, żeby rozejrzeć się po widnokregu. Odczepiłem trzy wiosła i włożyłem je do środka, gotów w każdej chwili płynąć w kierunku, skąd pojawiają się samoloty. Pełne napięcia minuty dłużyły się.

Słońce prażyło w twarz, piekły mnie plecy i wargi spękane od soli. Nie czułem jednak ani pragnienia, ani głodu. Chciałem tylko, żeby wreszcie pokazały się samoloty. Miałem już swój plan: gdy je zobaczę, postaram się wiosłować w ich stronę, a potem, gdy już będą nade mną, stanę na tratwie i zacznę dawać znaki koszulą. Żeby być przygotowanym, żeby nie stracić ani minuty, zdjąłem koszulę i dalej

siedziałem na tratwie, obserwując horyzont, bo nie miałem pojęcia, z której strony pojawią się samoloty.

Tak minęła druga. Wiatr zawodził jękliwie, a wśród jego odgłosów słyszałem cały czas głos Luisa Rengifo: „Gruby, wiosłuj w tę stronę”. Słyszałem go zupełnie wyraźnie; jakby tu był w odległości dwóch metrów i próbował chwycić się wiosła. Wiedziałem jednak, że kiedy na morzu dmie wiatr, a fale rozbijają się o skały, człowiek słyszy zapamiętane wcześniej głosy. Słyszy je z szaleńczą natarczywością: „Gruby, wiosłuj w tę stronę”.

O trzeciej zacząłem tracić nadzieję. Wiedziałem, że o tej porze niszczyciel stoi już przy kei w Cartagenie. Koledzy, uszczęśliwieni powrotem, rozsypią się za parę minut po mieście. Miałem wrażenie, że wszyscy myślą teraz o mnie, a to dodało mi otuchy i cierpliwości aż do czwartej. Nawet jeśli nie telegrafowali, jeśli nie zorientowali się, żeśmy wypadli za burzę, powinni to spostrzec przy wejściu do portu, kiedy cała załoga musi być na pokładzie. Mogło to nastąpić najpóźniej o trzeciej; z pewnością natychmiast dano znać. Choćby nie wiem jak długo opóźniał się odlot, za pół godziny samoloty powinny znaleźć się nad miejscem katastrofy. A zatem o czwartej – albo najpóźniej o pół do piątej – będą krążyły nade mną. Obserwowałem dalej widnokrąg, aż bryza ustała i poczułem, że obejmuje mnie olbrzymi i głuchy szum. Dopiero wtedy przestałem słyszeć krzyk Luisa Rengifo.

Wielka noc

Z początku myślałem, że nie sposób wytrzymać trzech godzin samotnie na morzu, ale o piątej, kiedy upłynęło ich już pięć, zdawało mi się, że godzinę mogę jeszcze poczekać. Słońce zachodziło. Czerwieniało i rosło na widnokręgu i wtedy zacząłem się orientować. Wiedziałem teraz, skąd nadlecą samoloty. Usadowiłem się tak, aby mieć słońce po lewej stronie, i patrzyłem przed siebie w bezruchu – nie odwracając ani na chwilę spojrzenia, nie ośmielając się mrugnąć okiem – w kierunku, gdzie miała się znajdować, według mego rozeznania, Cartagena. O szóstej rozbolały mnie oczy. Ale wypatrywałem dalej. Nawet gdy począł zapadać zmrok, patrzyłem nadal zawzięcie i cierpliwie. Wiedziałem, że nie zobaczę już samolotu, ale przecież

spozstrzegłbym zielone i czerwone światła uchwytnie wcześniej niż warkot silników. Chciałem ujrzeć światła i nie myślałem w ogóle, że z samolotu nie zauważono by mnie w ciemnościach. Niebo nagle spąsowiało, a ja dalej lustrowałem horyzont. Potem stało się ciemnofioletowe, a ja wciąż patrzyłem. Z jednej strony tratwy pojawiła się – jak żółty diament na niebie w kolorze wina – nieruchoma i kwadratowa pierwsza gwiazda. Był to jakby znak. Prawie natychmiast zapadła na morzu nieprzenikniona i głucha noc.

Pierwszym uczuciem, gdy zdałem sobie sprawę, że pogrążam się w ciemnościach i nie widzę nawet własnej dłoni, było wrażenie, że nie zdołam poskromić strachu. Z szumu wody ocierającej się o boki tratwy wywnioskowałem, że posuwa się ona wolno, ale nieustannie. Pogrążony w mroku zrozumiałem, że we dnie nie byłem aż tak bardzo samotny. Bardziej osamotniony byłem teraz, w ciemnościach, na tratwie, której nie widziałem, choć czułem, jak głucho sunie po gęstym i pełnym dziwnych zwierząt morzu. Żeby samotność uczynić mniej dokuczliwą, zacząłem spoglądać na tarczę zegarka. Była za dziesięć siódma. Znacznie później – po upływie dwóch albo trzech godzin – stwierdziłem, że jest za pięć siódma. Potem wskazówka minutowa zakryła liczbę dwanaście, była punkt siódma, a niebo zaroilo się od gwiazd. Mnie jednak zdawało się, iż upłynęło już tyle czasu, że lada chwila zacznie świtać. Rozpaczliwie myślałem o samolotach.

Zaczął mi dokuczać chłód. Na tratwie ani przez minutę nie można być suchym. Nawet kiedy się siedzi na jej krawędzi, połowa ciała pozostaje w wodzie, gdyż podłoga tratwy zwisa jak kosz, przeszło pół metra pod powierzchnią. O ósmej wieczorem temperatura wody była niższa niż powietrza. Wiedziałem, że na dnie tratwy nie grożą mi żadne morskie stwory, ponieważ siatka podtrzymująca podłogę nie dopuszcza ich zbyt blisko. Ale tego uczą w szkole i kiedy instruktor pokazuje pomniejszony model tratwy i kiedy się siedzi w ławce o drugiej po południu pośród czterdziestu kolegów, można w to jeszcze uwierzyć. Jednak gdy się przebywa samotnie na morzu o ósmej wieczorem i bez cienia nadziei, nietrudno o przekonanie, że słowa instruktora były nedorzeczne. Wiedziałem, że tkwiąc połową ciała w świetle nie należącym do ludzi, lecz morskich zwierząt, i mimo lodowatego wiatru, który targał moją koszulą, nie odważyłem się poruszyć na

brzegu tratwy. Według instruktora jest to miejsce najmniej bezpieczne. Tylko tam jednak czułem, że jestem z dala od ryb, tych olbrzymich i nieznanych bestii, które słyszałem, gdy tajemniczo przesuwały się obok tratwy.

Tej nocy z trudem udało mi się odnaleźć Małą Niedźwiedzicę, zagubioną w niezliczonym i bezkresnym mrowiu gwiazd. Nigdy nie widziałem ich tyle. Na całym nieboskłonie trudno było znaleźć puste miejsce. Kiedy już umiejscowiłem Małą Niedźwiedzicę, nie miałem odwagi patrzeć w inną stronę. Nie wiem, dlaczego czułem się mniej samotny, gdy spoglądałem na nią. W Cartagenie, gdy mieliśmy wolne, siadaliśmy nad ranem na moście do Manga i Ramón Herrera śpiewał, naśladując Daniela Santosa, a ktoś inny akompaniował mu na gitarze. Siedząc na brzeżku kamienia odszukiwałem zawsze Małą Niedźwiedzicę gdzieś nad Cerro de la Popa. Tej nocy na brzegu tratwy czułem przez chwilę, jakbym się znowu znalazł na moście do Manga, jakby Ramón Herrera był przy mnie i śpiewał przy akompaniamencie gitary, a Mała Niedźwiedzica wisiała nie 200 mil od lądu, ale nad Cerro de la Popa. Myślałem, że właśnie teraz ktoś patrzy w Cartagenie na Małą Niedźwiedzicę, tak jak ja na morzu, i to sprawiło, że poczułem się mniej samotny.

Dłużyła się ta moja pierwsza noc tak bardzo dlatego, że nic się zupełnie nie wydarzyło. Nie sposób opisać nocy na tratwie, kiedy nic się nie dzieje, kiedy człowiek boi się morskich stworów i ma fosforyzujący zegarek, na który nie sposób nie zerkać raz po raz. Tej nocy 28 lutego – pierwszej spędzonej na morzu – spoglądałem na zegarek co minutę. Była to prawdziwa męka. W desperacji postanowiłem zdjąć zegarek i schować do kieszeni, żeby nie mieć go więcej przed oczyma. Kiedy zdawało mi się, że dłużej tego nie zniosę, była za dwadzieścia dziewięć. Nie dokuczał mi jeszcze ani głód, ani pragnienie i byłem pewny, że wytrwam do rana, gdy nadlecą samoloty. Zrozpaczony zerwałem go z nadgarstka, aby wrzucić do kieszeni, a kiedy już miałem go w garści, przyszło mi do głowy, że lepiej byłoby cisnąć zegarek w morze. Zawahałem się przez chwilę.

Potem ogarnęło mnie przerażenie: pomyślałem, że bez zegarka będę jeszcze bardziej samotny. Założyłem go znowu na rękę i spoglądałem nań co minutę, tak jak wieczorem, gdy wypatrywałem na horyzoncie

samolotów, aż w końcu rozbolały mnie oczy.

Po dwunastej miałem chęć się rozplakać. Nie spałem ani sekundy i nawet nie próbowałem. Z taką samą nadzieją, z jaką po południu wyglądałem samolotów, szukałem o świcie świateł statków. Długie godziny wpatrywałem się w morze, spokojne, ogromne i ciche, ale poza gwiazdami nie widziałem żadnych świateł. Nad ranem ochłodziło się jeszcze bardziej i miałem wrażenie, że moje ciało zaczyna wypromieniowywać światło słońca, jakie wchłonęło wieczorem. Im było zimniej, tym bardziej płonęło. Po dwunastej zaczęło mi dokuczać prawe kolano i czułem się tak, jakbym do szpiku kości nasiąkł wodą. Były to jednak doznania uboczne. Myślałem nie tyle o własnym ciele, co o okrętowych światłach. Myślałem, że w tym bezkresnym osamotnieniu, pośród mrocznego szumu morza wystarczyłoby, żebym zobaczył światła statku, a krzyknąłbym tak, że usłyszeliby to z każdej odległości.

Światło dnia powszedniego

Nie dniało tu tak powoli jak na lądzie. Niebo pobladło nagle, znikły pierwsze gwiazdy, a ja spoglądałem wciąż to na zegarek, to na horyzont. Ukazała się przestrzeń morza. Minęło dwanaście godzin, mnie jednak wydało się to nieprawdopodobne. Niemożliwe, żeby noc była równie długa jak dzień. Trzeba ją spędzić na morzu, na tratwie i zerkać raz po raz na zegarek, aby zrozumieć, że noc jest niewspółmiernie dłuższa od dnia. Ale nagle zaczyna świtać i wtedy człowiek nie ma już sił tego zauważyć. Tak było ze mną. Kiedy nastał dzień, nic już mnie to nie obchodziło. Nie myślałem ani o piciu, ani o jedzeniu. Nie myślałem o niczym, kiedy powiał cieplejszy wiatr, a powierzchnia morza stała się gładka i złocista. Nie zmrużyłem w nocy oka ani przez sekundę, ale w tej chwili miałem wrażenie, jakbym się obudził. Kiedy się przeciągałem, bolały mnie kości. Piekła skóra. Ranek był jednak jasny i ciepły, a w tym blasku, w poszumie wzmagającego się wiatru czułem, że odzyskuję siły do dalszego czekania. Po raz pierwszy od dwudziestu lat poczułem się całkowicie szczęśliwy.

Tratwa posuwała się naprzód, nie mogłem jednak obliczyć, jaką

trasę przebyła w nocy, bo na horyzoncie nic się nie zmieniło, jakby stała wciąż w miejscu. O siódmej rano pomyślałem o niszczycielu. Była to pora śniadania. Wyobraziłem sobie, że koledzy siedzą teraz przy stole i zajadają jabłka. Później podawano nam jajecznicę. Potem wędliny. A potem chleb i kawę z mlekiem. Ślina napłynęła mi do ust i odczułem lekki skurcz żołądka. Żeby odsunąć od siebie podobne myśli, zanurzyłem się w koszu tratwy aż po szyję. Rześka woda na spieczonych plecach przyniosła mi ulgę i dodała sił. Dłuższą chwilę spędziłem, zastanawiając się, dlaczego poszedłem z Ramonem Herrera na rufę, zamiast położyć się w koi. Odtworzyłem minuta po minucie całą tragedię i uznałem siebie za głupca. Nie było żadnej racji, dla której miałbym zostać jedną z ofiar: nie miałem wachty, nie musiałem być na pokładzie. Pomyślałem, że wszystkiemu winien jest pech, i znowu poczułem lekki niepokój. Kiedy jednak spojrzałem na zegarek, uspokoiłem się. Dzień mijał szybko, było już pół do dwunastej.

Czarny punkt na horyzoncie

Bliskość południa sprawiła, że znowu pomyślałem o Cartagenie. To niemożliwe, myślałem, by nie zauważono mego zniknięcia. Zacząłem nawet ubolewać, że się znalazłem na tratwie, bo wydało mi się przez chwilę, że innych kolegów wyciągnięto z wody, a tylko ja dryfowałem teraz spychany gdzieś wiatrem. Winiłem nawet złośliwy los za to, że dotarłem do tratwy. Ledwie to pomyślałem, wydało mi się, że widzę na horyzoncie jakąś plamkę. Wstałem ze wzrokiem wbitym w ten czarny punkt, który wciąż rósł. Była za dziesięć dwunasta. Patrzyłem z takim napięciem, że w pewnej chwili niebo zaroilo się od lśniących punktów. Ale tamten czarny przedmiot sunął prosto na tratwę. Dwie minuty później widziałem wyraźnie jego kształty. Lśniący i błękitny, zbliżał się coraz bardziej i rzucał oślepiające, metaliczne błyski. Stopniowo nabierał kształtów wśród innych błyszczących punktów. Bolała mnie szyja i wzrok nie mógł już znieść blasku nieba. Patrzyłem jednak dalej: był połyskliwy, szybki i zmierzał prosto na tratwę. Nie odczułem w tej chwili szczęścia. Nie doznałem ogromnego wzruszenia. Kiedy tak stałem na tratwie, a samolot się zbliżał, czułem tylko wielką jasność umysłu i nie zwykły spokój.

Spokojnie zdjęłem koszulę. Miałem wrażenie, że wiem dokładnie, kiedy powinienem zacząć dawać nią znaki. Oczekałem minutę, dwie minuty z koszulą w ręku, aż samolot zbliżył się jeszcze bardziej. Leciał prosto na tratwę. Kiedy podniosłem rękę i zacząłem wymachiwać, doskonale słyszałem wśród łoskotu fal potężniejszy i rozedrgany warkot silników.

ROZDZIAŁ V

Miałem na tratwie kolegę

Potrząsałem rozpaczliwie koszulą co najmniej przez pięć minut. I nagle zrozumiałem własny błąd: samolot nie leciał w stronę tratwy. Kiedy czarny punkt zaczął rosnać, wydawało mi się, że przemknie nad moją głową. Przeleciał jednak w dużym oddaleniu i na wysokości, z której nie mógłby mnie zobaczyć. Potem wykonał duże koło, zawrócił i zaczął ginąć w tym samym miejscu na niebie, gdzie się pojawił. Wystawiony na palące promienie słońca wpatrywałem się bezmyślnie w czarny punkt, aż znikł z horyzontu. Dopiero wtedy usiadłem. Byłem nieszczęśliwy, ale nie straciłem jeszcze nadziei i dlatego postanowiłem zabezpieczyć się jakoś przed słońcem. Przede wszystkim nie wolno mi było narażać klatki piersiowej. Była dwunasta. Spędziłem już na tratwie całą dobę. Położyłem się na wznak na jej brzegu i zakryłem twarz mokrą koszulą. Nie próbowałem zasnąć, gdyż wiedziałem, jakie mi grozi niebezpieczeństwo, gdybym się zdrzemnął na krawędzi tratwy. Myślałem o samolocie: nie byłem pewny, czy szukają właśnie mnie. Nie mogłem go zidentyfikować.

Leżąc na kraju tratwy, po raz pierwszy odczułem udrękę pragnienia. Najpierw była gęsta ślina i suchość w gardle. Zmusiło mnie to do przełknięcia morskiej wody, choć wiedziałem, że szkodzi. Później będę mógł wypić jeszcze trochę. Nagle zapomniałem o pragnieniu. Tuż nad moją głową usłyszałem głośniejszy od szumu fal warkot innego samolotu.

Podniecony zerwałem się na nogi. Samolot zbliżał się od strony, z której nadleciał poprzedni, ale zmierzał prosto na tratwę. W chwili gdy przelatywał nad moją głową, zamachałem koszulą. Leciał jednak za wysoko. Przemknął tylko, oddalił się, znikł. Potem zawrócił

i zobaczyłem go z boku, jak spieszy tam, skąd przyleciał. „Teraz na pewno mnie szukają”, pomyślałem. I czekałem z koszulą w dłoni, aż nadlecą inne samoloty.

Jedno wyjaśniło się dzięki tym samolotom: pojawiały się i znikwały w tym samym punkcie. Znaczyło to, że tam była ziemia. Wiedziałem teraz, w którą stronę mam się kierować. Ale jak? Bez względu na to, ile tratwa posunęła się w nocy, z pewnością była jeszcze bardzo daleko od brzegu. Wiedziałem, w jakim kierunku go szukać, ale zupełnie nie miałem pojęcia, ile musiałbym wiosłować w spiekocie, która mi zaczynała dokuczać, i o głodzie, od którego skręcały mi się kiszki. A do tego z takim pragnieniem. Coraz trudniej było mi oddychać.

O 12.35, kiedy się nawet nie spostrzegłem, ogromny czarny hydroplan przeleciał z rykiem nade mną. Serce skoczyło mi do gardła. Widziałem go doskonale. Dzień był jasny, tak że mogłem wyraźnie zobaczyć głowę mężczyzny wychylającego się z kabiny i lustrującego morze przez czarną lornetkę. Przeleciał tak nisko, tak blisko mnie, iż zdawało mi się, że czuję na twarzy silny podmuch powietrza. Zidentyfikowałem go łatwo po literach na skrzydłach: był to samolot ze służby ochrony wybrzeża ze strefy Kanału Panamskiego.

Kiedy oddalał się z łoskotem w kierunku otwartych wód Morza Karaibskiego, nie wątpiłem ani przez chwilę, że mężczyzna z lornetką widział, jak macham koszulą. „Znaleźli mnie!”, krzyknąłem uszczęśliwiony, nie przestając nią wymachiwać. Oszalały z emocji zacząłem podskakiwać na tratwie.

Zobaczono mnie!

Nie minęło pięć minut, a czarny samolot znowu przeleciał w przeciwnym kierunku, na tej samej wysokości, co za pierwszym razem. Leciał przechylony na lewe skrzydło i w okienku od mojej strony znowu widziałem wyraźnie mężczyznę lustrującego morze przez lornetkę. Znowu zamachałem koszulą. Teraz jednak nie potrząsałem nią tak rozpaczliwie. Machałem spokojnie, jakbym nie wzywał pomocy, lecz przesyłał moim odkrywcom serdeczne podziękowanie.

Zdawało mi się, że samolot z wolna wytraca wysokość. Przez moment leciał w linii prostej tuż nad wodą. Pomyślałem, że ląduje, i przygotowałem się do wiosłowania w tym kierunku. Ale po chwili wzbił się znowu, zawrócił i po raz trzeci przemknął nad moją głową. Nie machałem już zawzięcie koszulą. Oczekiwałem, aż znajdzie się dokładnie nad tratwą. Dałem krótki znak i czekałem, aż znowu nadleci jeszcze niżej. Ale stało się inaczej: samolot szybko nabrał wysokości i zginął tam, skąd przyleciał. Nie miałem jednak powodów do obaw. Byłem pewny, że mnie zobaczono. Niemożliwe, żeby mnie nie widziano, lecąc tak nisko i tuż nad tratwą. Spokojny, odprężony i szczęśliwy usiadłem i zacząłem czekać.

Czekałem godzinę. Wyciągnąłem bardzo ważny wniosek: punkt, w którym pojawiły się pierwsze samoloty, znajdował się nad Cartageną. Punkt, gdzie znikł czarny samolot, wskazywał Panamę.

Obliczyłem, że wiosłując w linii prostej, nieznacznie tylko zbaczając z trasy wyznaczonej wiatrem, dotrę w okolice plaż w Tolu. Był to mniej więcej środek między dwoma punktami, w których znikły samoloty.

Obliczyłem, że za godzinę powinna nadejść pomoc. Ale godzina minęła i nic się nie działo na błękitnym, czystym i zupełnie spokojnym morzu. Upłynęły jeszcze dwie godziny. I jeszcze jedna, i następna, podczas których tkwiłem nieporuszony na brzegu tratwy. Siedziałem sztywno i uporczywie wpatrywałem się w widnokrąg. O piątej po południu słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Jeszcze nie traciłem nadziei, ale czułem się już trochę nieswojo. Byłem przekonany, że zobaczono mnie z czarnego hydroplanu, choć nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego tak długo zwlekają z pomocą. Dokuczała mi suchość w gardle. Coraz trudniej było mi oddychać. Gapiąc się tak w horyzont, nie mogłem się skupić, i nagle, nie wiadomo dlaczego, poderwałem się i zwałem na środek tratwy. Koło burty, wolno, jakby tropiąc ofiarę, przesunęła się płetwa rekina.

Rekiny zjawiają się o piątej

Było to pierwsze stworzenie, jakie zobaczyłem po blisko trzydziestu

godzinach pobytu na tratwie. Płetwa rekina budzi przerażenie, bo znana jest krwiożerczość tej bestii.

W rzeczywistości nie ma nic bardziej niewinnego od rekiniej płetwy. Nie wydaje się być częścią zwierzęcia, a zwłaszcza takiego drapieżnika. Jest zielona i chropowata jak kora drzewa. Kiedy ujrzałem ją koło tratwy, miałem wrażenie, że jest świeża i lekko gorzkawa w smaku jak kora. Minęła już piąta. Morze po południu było spokojne. Inne rekiny cierpliwie podpływały do tratwy i kręciły się aż do zmroku. Dzień już zaszedł, ale czułem, że krążą w ciemnościach, tnąc gładką powierzchnię morza ostrzem płetwy.

Od tej chwili nie siadałem już więcej na brzegu tratwy po piątej po południu. Nazajutrz i jeszcze przez cztery kolejne dni miałem sposobność przekonać się, że rekiny to zwierzęta punktualne: zjawiały się tuż po piątej i znikwały z zapadnięciem zmroku.

O zmierzchu przezroczyste wody przedstawiały wspaniały widok. Różnokolorowe ryby podpływały do tratwy. Olbrzymie ryby żółte i zielone, rybki w niebieskie i czerwone pasy, pękate i malutkie towarzyszyły tratwie do zmroku. Czasami błyskało coś metalicznie, bryzgi zakrwawionej wody wlewały się do środka i szczątki rozszarpanej przez rekina ryby unosiły się przez chwilę koło tratwy. Wtedy ławica drobnych ryb rzucała się na te resztki. Sprzedałbym wówczas duszę za najmniejszą cząstkę tych pozostałości po rekinie.

Była to moja druga noc na morzu. Noc głodu, pragnienia i rozpacz. Czułem się opuszczony, pozbawiony nadziei, jaką dotychczas uparcie wiązałem z samolotami. Dopiero tej nocy uznałem, że aby się uratować, muszę liczyć tylko na własną wolę i resztki swoich sił. Jedno mnie dziwiło: czułem się lekko osłabiony, ale nie wyczerpany. Spędziłem już prawie czterdzieści godzin bez jedzenia i picia i przeszło dwie doby bez snu, bo nie zmrużyłem oka w noc poprzedzającą wypadek. A mimo to zdawało mi się, że mogę jeszcze wiosłować.

Znowu odszukałem Małą Niedźwiedzicę. Wbiłem w nią wzrok i chwyciłem za wiosła. Wiał lekki wiatr, choć nie w tym kierunku, jaki musiałem nadać tratwie, aby płynęła prosto na Małą Niedźwiedzicę. Umocowałem po bokach dwa wiosła i zacząłem nimi pracować. Z początku wiosłowałem rozpaczliwie. Potem spokojniej, ze wzrokiem utkwionym w Małą Niedźwiedzicę, która według moich obliczeń

świeciła dokładnie nad Cerro de la Popa. Plusk wody wskazywał, że się posuwam do przodu. Kiedy byłem zmęczony, składałem wiosła i odpoczywałem z opartą o nie głową. Potem brałem się do roboty z jeszcze większą siłą i jeszcze większą nadzieją. O północy jeszcze wiosłowałem.

Kolega na tratwie

Okolo drugiej poczułem się do reszty wyczerpany. Złożyłem wiosła i próbowałem zasnąć. Mocniej dokuczało mi teraz pragnienie. Byłem tak wycieńczony, że oparłem głowę o wiosło i postanowiłem umrzeć. I wtedy właśnie zobaczyłem na pokładzie niszczyciela marynarza Jaime Manjarresa, który palcem wskazywał mi kierunek do portu. Jaime Manjarres z Bogoty był to jeden z moich najstarszych przyjaciół w marynarce. Często myślałem o kolegach, którzy próbowali dopłynąć do tratwy. Zastanawiałem się, czy udało się im zatrzymać drugą tratwę; a może zabrał ich niszczyciel albo odnalazły samoloty. Nigdy jednak nie myślałem o Jaime Manjarresie. A mimo to, ilekroć zamykałem oczy, Jaime Manjarres pojawiał się uśmiechnięty i najpierw wskazywał mi kierunek do portu, a potem zasiadał w mesie, naprzeciwko mnie, z talerzem pełnym owoców i jajecznicą w ręku.

Początkowo działo się to we śnie. Zamykałem oczy, zasypiałem na kilka krótkich chwil i zawsze zjawiał się, punktualnie i w tej samej pozycji, Jaime Manjarres. W końcu postanowiłem do niego przemówić. Nie pamiętam, o co go zapytałem za pierwszym razem. Nie pamiętam również, co mi odpowiedział. Wiem tylko, że rozmawialiśmy na pokładzie i nagle uderzyła fala, fatalna fala o 11.55 i zbudziłem się wystraszony, chwytając się wszystkimi siłami linek siatki, żeby nie spaść do morza.

Tuż przed świtem niebo pociemniało. Nie mogłem dłużej spać, bo byłem już zupełnie bez sił, nawet do spania. W ciemnościach przestałem widzieć drugi koniec tratwy. Patrzyłem jednak w mrok, starając się go przeniknąć. I wtedy zobaczyłem wyraźnie, że na skraju tratwy siedzi Jaime Manjarns w roboczym uniformie, w granatowych spodniach i koszuli oraz w czapce na bakier, na której mimo ciemności można było przeczytać bez trudu „A.R.C. Caldas”.

– Cześć! – powiedziałem do niego bez zdziwienia. Pewny, że Jaime Manjarres tam jest. Pewny, że zawsze tam był.

Gdyby to była senna mara, rzecz nie miałyby większego znaczenia. Wiem jednak, że nie spałem, że byłem zupełnie przytomny i słyszałem świst wiatru oraz szum morza nade mną. Byłem głodny i chciało mi się pić. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Jaime Manjarres płynie ze mną na tratwie.

– Dlaczego nie zabrałeś ze statku wody? – zapytał. – Dopływaliśmy do Cartageny – odparłem. – Leżałem na rufie z Ramonem Herrera.

Nie była to zjawą. Nie bałem się jej. Wydało mi się niedorzecznością, że do niedawna czułem się na tratwie samotny, nie wiedząc, że jest ze mną jeszcze jeden marynarz.

– Dlaczego nie jadłeś? – zapytał Jaime Manjarres. Doskonale pamiętam, że odpowiedziałem mu: – Bo nie chciano mi dać. Prosiłem o jabłka i lody i nie podano mi. Nie wiem, gdzie je schowali.

Jaime Manjarres nic nie odpowiedział. Przez chwilę milczał. Znowu wskazał mi ręką, gdzie leży Cartagena. Spojrzałem w tym kierunku i zobaczyłem światła portowe, boje zatoki tańczące w wodzie. „Już dopływamy”, powiedziałem i wpatrywałem się z napięciem w światła nabrzeża, bez wzruszenia, bez radości, jakbym wracał po zwyczajnej podróży. Poprosiłem Jaime Manjarresa, żebyśmy trochę razem powiosłowali. Ale już go nie było. Odszedł. Zostałem na tratwie sam, a portowe światła były pierwszymi promieniami słońca. Pierwszymi promieniami mojego trzeciego dnia morskiej samotności.

ROZDZIAŁ VI

Statek ratunkowy i wyspa ludożerców

Z początku liczyłem dni według wydarzeń: dzień pierwszy, 28 lutego, był dniem wypadku. Drugi, dniem samolotów. Trzeci był najbardziej beznadziejny: nie wydarzyło się nic szczególnego. Tratwa sunęła popychana wiatrem. Nie miałem już sił wiosłować. Zachmurzyło się, było mi zimno i straciłem orientację, bo nie widziałem słońca. W takim dniu nie wiedziałbym, skąd nadlatują samoloty. Tratwa nie ma ani dziobu, ani rufy. Jest kwadratowa i czasami płynie bokiem, kręci się niezauważalnie w koło i nie wiadomo, czy się cofa, czy też posuwa do przodu, bo nie ma żadnego punktu odniesienia. Morze ze wszystkich stron jest jednakowe. Czasami kładłem się na jej tylnej – w stosunku do ruchu tratwy – krawędzi. Zakrywałem twarz koszulą. Kiedy się podnosiłem, tratwa płynęła już naprzód tą burtą, przy której leżałem. Nie wiedziałem, czy porusza się w innym kierunku, czy tylko obróciła się dookoła swej osi. Coś podobnego przytrafiło mi się po trzech dniach z czasem.

W południe postanowiłem zrobić dwie rzeczy: po pierwsze, umocowałem wiosło na jednym z boków tratwy, aby wiedzieć, czy płynie stale w tym samym kierunku. Po drugie, oznaczyłem kreskami na burcie każdy miniony dzień i napisałem datę. Zrobiłem pierwszą kreskę i napisałem liczbę 28. Zrobiłem drugą i napisałem 29. Trzeciego dnia przy trzeciej kresce umieściłem liczbę 30. Było to jeszcze jedno nieporozumienie. Myślałem, że mamy 30 lutego, a w rzeczywistości był już 2 marca. Zauważyłem to czwartego dnia, kiedy zastanawiałem się, czy miniony miesiąc ma 30, czy też 31 dni. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że to luty, i choć może to się wydać głupie, ten błąd zachwiały moim poczuciem czasu. Czwartego dnia nie byłem już

pewny własnych obliczeń czasu spędzonego na tratwie. Upłynęły trzy dni? A może cztery? A może pięć? Według kresek (bez względu na to, czy był to luty czy marzec) minęły trzy dni. Nie byłem jednak tego całkowicie pewny, podobnie jak nie byłem pewny, czy tratwa posuwa się naprzód, czy też się cofa. Wolałem zostawić rzeczy ich własnemu biegowi, aby uniknąć nowych nieporozumień, i ostatecznie straciłem nadzieję na ratunek.

Wciąż nic nie jadłem i nie piłem. Nie chciało mi się już myśleć, z trudem mogłem się skupić. Skóra, spalona od słońca i pełna bąbli, piekła straszliwie. W bazie morskiej instruktor ostrzegwał nas, że za wszelką cenę należy chronić klatkę piersiową przed działaniem promieni słonecznych. Było to jeszcze jedno zmartwienie. Zdjąłem koszulę, stale mokrą, i obwiązałem się nią w pasie, bo dokuczało mi, kiedy się ocierała o skórę. Od czterech dni nic nie piłem i z trudnością mogłem oddychać, a poza tym dawał mi się we znaki ostry ból w gardle, klatce piersiowej i pod obojczykami, więc czwartego dnia pociągnąłem łyk słonej wody. Woda ta nie gasi pragnienia, lecz za to orzeźwia. Zwlekałem z tym tak długo, bo wiedziałem, że za drugim razem wolno jej wypić mniej i tylko po upływie wielu godzin. Codziennie o piątej ze zdumiewającą punktualnością zjawiały się rekiny. Wokół tratwy odbywał się wtedy istny festyn. Olbrzymie ryby wyskakiwały z wody, a w chwilę potem ich szczątki wypływały na powierzchnię. Rekiny, rozszalałe, rzucały się głucho w zakrwawionej toni. Jak dotąd nie próbowały atakować tratwy, choć jej biały kolor wabił je. Wiadomo powszechnie, że rekiny najchętniej atakują przedmioty białe. Są krótkowzroczne, więc zauważają tylko rzeczy białe albo błyszczące. Instruktor radził nam:

– Wszystkie błyszczące przedmioty trzeba schować, żeby nie przyciągały rekinów.

Nie miałem nic błyszczącego. Nawet tarcza mego zegarka była ciemnomatowa. Byłbym jednak spokojniejszy, gdybym miał coś białego do wyrzucenia w morze, daleko od tratwy, w razie gdyby rekiny próbowały skoczyć przez burtę. Na wszelki wypadek od czwartego dnia po piątej wieczorem trzymałem w ręku wiosło, w każdej chwili gotowy do obrony.

Statek na horyzoncie!

W nocy kładłem wiosło w poprzek tratwy i próbowałem zasnąć. Nie wiem, czy działo się to we śnie, czy na jawie, ale co noc widziałem Jaime Manjarresa. Rozmawialiśmy kilka minut o byle czym, a potem znikał. Już się przyzwyczailem do jego wizyt. Kiedy nastawał dzień, zdawało mi się, że to przywidzenie. W nocy jednak nie miałem wątpliwości, że Jaime Manjarres siedzi na brzegu tratwy i rozmawia ze mną. On również próbował zasnąć o świcie piątego dnia. Wyciągnięty na drugim wiosle kiwał w milczeniu głową. Nagle zaczął lustrować morze. Powiedział do mnie:

– Spójrz!

Podniosłem wzrok. W odległości około 30 kilometrów od tratwy, posuwającej się z wiatrem, ujrzałem migotliwe, niemożliwe do pomylenia z czymkolwiek innym światło statku.

Od wielu godzin nie czułem się na siłach wiosłować. Kiedy jednak zobaczyłem światła, usiadłem, mocno chwyciłem wiosła i próbowałem skierować tratwę w stronę statku. Patrzyłem, jak sunie wolno, i przez chwilę widziałem nie tylko światła na maszcie, ale nawet jego cień przemieszczający się w porannym blasku.

Bryza stawiała mi mocny opór. Choć wiosłowałem rozpaczliwie, z wysiłkiem, który przekraczał moje możliwości po przeszło czterech dniach bez jedzenia i snu, nie udało mi się chyba ani o metr zboczyć z trasy, jaką narzucał wiatr.

Światła były coraz dalej, zacząłem ociekać potem. Poczułem się znużony. Po dwudziestu minutach światła znikły całkowicie. Gwiazdy zaczęły gasnąć, a niebo zabarwiło się na kolor intensywnie szary. Zrozpaczony bezmiarem morza, wstałem i smagany lodowatym porannym wiatrem, dałem się parę minut jak opętany.

Kiedy znowu wyjrzało słońce, leżałem wyciągnięty na wiosle. Czułem się skrajnie wyczerpany. Znikąd nie spodziewałem się już ratunku i chciałem umrzeć. A jednak działo się coś dziwnego, ilekroć nawiedzało mnie to pragnienie, natychmiast myślałem o niebezpieczeństwie. Myśl ta dodawała mi sił do dalszej walki.

Rankiem piątego dnia za wszelką cenę chciałem zmienić kurs

tratwy. Przyszło mi do głowy, że jeśli będę dalej płynął w tym kierunku, dotrę do wyspy zamieszkaanej przez ludożerców. W Mobile, w piśmie, którego tytułu nie pamiętam, czytałem opowiadanie o rozbitku pożartym przez kanibali. Nie myślałem jednak o tej opowieści. Myślałem o wyklętym majtku, książce, którą czytałem w Bogocie dwa lata temu. Jest to historia marynarza, któremu w czasie wojny udało się (gdy jego statek natknął się na minę) dopłynąć do pobliskiej wyspy. Spędził tam 24 godziny, odżywiał się dzikimi owocami, aż wytropili go ludożercy, włożyli do kotła z wrzątkiem i żywcem ugotowali. W jednej chwili stanęła mi przed oczyma ta wyspa. Nie mogłem już sobie wyobrazić lądu w innej postaci niż krainy zamieszkaanej przez kanibali. Po raz pierwszy w ciągu pięciu dni morskiej samotności zmienił się przedmiot mego lęku: bałem się teraz nie tyle morza, co lądu.

W południe leżałem na brzegu tratwy, odrętwiały z gorąca, głodu i pragnienia. Nie myślałem o niczym. Straciłem poczucie czasu i kierunku. Próbowałem się podnieść, żeby sprawdzić własne siły, ale miałem wrażenie, że moje ciało zbuntowało się.

„To teraz”, pomyślałem. I rzeczywiście, wydało mi się, że nadszedł ten najstraszliwszy moment, o którym mówił instruktor: moment przywiązania się do tratwy. Jest taka chwila, kiedy nie czuje się już ani głodu, ani pragnienia. Nie czuje się nawet bezlitosnych ukąszeń słońca na poparzonej skórze. Nie myśli się o niczym. Nie ma się pojęcia o własnych doznaniach. Ale nie utraciło się jeszcze nadziei. Można jeszcze rozplątać liny siatki i przywiązać się do tratwy. W czasie wojny wiele ciał znaleziono w takim właśnie położeniu, rozkładających się i podziobanych przez ptaki, ale mocno przytwierdzonych do tratwy.

Pomyślałem, że mam jeszcze siły, aby wytrzymać do nocy bez przywiązywania się. Stoczyłem się na dno tratwy, wyciągnąłem nogi i na kilka godzin zanurzyłem się w wodzie aż po szyję. Po zetknięciu się ze słoną wodą zranione kolano zaczęło mnie boleć. Było to jakby przebudzenie się. Jak gdyby ból przywrócił mi świadomość istnienia. Z wolna, w kontakcie z rześką wodą, zacząłem odzyskiwać siły. I wtedy poczułem silny skurcz żołądka i brzuch drgnął poruszony długim i głębokim burczeniem. Próbowałem się powstrzymać, ale nie mogłem. Z wielkim trudem podniosłem się, rozpiąłem pasek,

rozluźniłem spodnie i odczułem wielką ulgę po opróżnieniu żołądka. Po raz pierwszy od pięciu dni ryby, zrozpaczone, uderzały o tratwę i próbowały przerwać mocne liny siatki.

Siedem mew

Widok ryb, lśniących i bliskich, przypomniał mi o głodzie. Po raz pierwszy ogarnęła mnie prawdziwa rozpacz. Ale teraz miałem chociaż przynętę. Zapomniałem o własnym wycieńczeniu, chwyciłem wiosło i przygotowałem się do utraty resztek sił wraz z celnym ciosem w łeb jednej z ryb, z szaloną zjadłością atakujących tratwę. Nie wiem, ile razy tłukłem wiosłem. Wiedziałem, że każdy cios jest celny, nie udało mi się jednak dopaść ofiary. Odbywał się tu straszliwy festyn ryb pożerających się wzajemnie, a jakiś rekin z brzuchem odwróconym do góry zbierał soczyste łupy w tej skłębionej wodzie.

Obecność rekina kazała mi zrezygnować z mego zamiaru. Rozczarowany odłożyłem wiosło i wyciągnąłem się na brzegu tratwy. Po paru minutach poczułem straszną radość: nade mną krążyło siedem mew.

Dla samotnego i wygłodzonego marynarza obecność mew na morzu jest znakiem nadziei. Zazwyczaj stadko mew towarzyszy okrętom, ale tylko do drugiego dnia rejsu. Tych siedem mew nad tratwą znaczyło, że ląd jest blisko.

Gdybym miał siły, zabrałbym się do wiosła. Byłem jednak wycieńczony. Z trudem mogłem utrzymać się parę minut na nogach. W przekonaniu, że pozostanę na tratwie nie dłużej niż dwa dni, że zbliżam się do lądu, wypłem odrobinę morskiej wody z zagłębienia dłoni i znowu położyłem się na plecach, osłaniając przed słońcem klatkę piersiową. Twarzy nie przykryłem koszulą, gdyż chciałem widzieć mewy kołujące wolno i spadające pod ostrym kątem do morza. Była pierwsza po południu mojego piątego dnia na morzu.

Nie wiem, kiedy się zjawiała. Leżałem na tratwie, zbliżała się pięta i miałem właśnie zamiar zanurzyć się w wodzie, zanim pokażą się rekiny. Wtedy właśnie zobaczyłem małą mewę, wielkości mojej dłoni, krążącą nad tratwą i od czasu do czasu przysiadającą na parę minut na

jej przeciwnym krańcu.

Zimna ślina napłynęła mi do ust. Nie miałem czym złapać tej mewy. Żadnego narzędzia, poza rękoma i przebiegłością wyostrzoną głodem. Reszta mew znikła. Została tylko ta mała, o lśniącem, kawowym upierzeniu, skacząca po tratwie.

Zastygłem w całkowitym bezruchu. Zdawało mi się, że czuję, jak o moje ramię ociera się płetwa tego punktualnego rekina, który od piątej powinien już tu być. Postanowiłem jednak zaryzykować. Nie odważyłem się nawet patrzeć na mewę, żeby nie spłoszyć jej ruchami głowy. Widziałem, jak przeskakuje, drobniutka, nad moim ciałem. Widziałem, jak się oddala, znika na niebie, ale nie traciłem nadziei. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób ją rozszarpie. Wiedziałem tylko, że jestem głodny i że jeśli będę dalej leżał nieruchomo, mewa znajdzie się w zasięgu mojej dłoni.

Wydaje mi się, że czekałem przeszło pół godziny. Widziałem, jak wielokrotnie zjawiała się i znikwała. W pewnej chwili poczułem koło głowy trzepot płetwy rekina rozszarpującego rybę. Nie odczuwałem jednak strachu, lecz tylko głód. Mewa skakała po tratwie. Był to mój piąty wieczór na morzu. Pięć dni bez jedzenia. Mimo emocji, mimo łomotania w piersiach, leżałem sztywno jak nieboszczyk i czułem, że ptak jest coraz bliżej.

Leżałem z rękoma na udach. Dałbym głowę, że przez pół godziny nie odważyłem się nawet ruszyć powieką. Niebo było coraz jaskrawsze i raziło wzrok, nie miałem jednak odwagi zamknąć oczu w tej pełnej napięcia chwili. Mewa dziobała mnie w buty.

Minęły dwa długie i napięte kwadransy, kiedy nagle poczułem, że mewa siada mi na głowie. Łagodnie dziobnęła w spodnie. Leżałem w całkowitym bezruchu, gdy mocno i sucho uderzyła dziobem w zranione kolano. Niewiele, a poderwałbym się z bólu. Jakoś to jednak zniosłem. Potem przeskoczyła na moje prawe udo, pięć albo sześć centymetrów od ręki. Wtedy wstrzymałem oddech i niezauważalnie, w straszliwym napięciu, zacząłem przesuwać dłoń.

ROZDZIAŁ VII

Rozpaczliwe zabiegi człowieka wygłodzonego

Gdyby ktoś położył się na miejskim placu w nadziei, że uda mu się złapać gołębia, mógłby tam spędzić bezowocnie resztę swego życia. Ale w odległości stu mil od brzegu jest inaczej. Mewy mają silnie rozwinięty instynkt trzymania się lądu. Na morzu są pełne ufności.

Leżałem w takim bezruchu, że mała i psotna mewa, która przysiadła mi na udzie, sądziła chyba, że nie żyję. Widziałem ją wciąż na udzie. Uderzała dziobem w spodnie, ale nie sprawiała mi bólu. Nadal przesuwałem dłoń. Nagle, akurat w chwili, gdy zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa i chciała się wzbić w powietrze, schwyciłem mewę za skrzydło, wskoczyłem do środka tratwy i już byłem gotów ją pożreć.

Kiedy czekałem, aż siądzie na moim udzie, byłem pewny, że gdyby mi się ją udało złapać, zjadłbym całą, na żywo, z piórami. Byłem wygłodniały i sama myśl o zwierzęcej krwi podsycala moje pragnienie. Ale gdy już miałem ją w rękę, gdy poczułem pulsowanie ciepłego ciała, gdy zobaczyłem okrągłe, błyszczące i brązowe oczy zawahałem się przez chwilę.

Pewnego razu stałem na pokładzie niszczyciela z karabinkiem i chciałem zestrzelić jedną z mew lecących za okrętem. Nasz ogniomistrz, doświadczony marynarz, powiedział wtedy: „Nie bądź draniem. Mewa dla marynarza to jak widok lądu. Nie przystoi marynarzowi zabijać mewy”. Przypomniały mi się te słowa, kiedy już trzymałem mewę w rękę i miałem zamiar uśmiercić ją i wypatroszyć. Choć od pięciu dni nic nie jadłem, słowa ogniomistrza zabrzmiały tak, jakbym je dopiero co usłyszał. Ale głód był silniejszy od wszystkiego. Uchwyciłem mocno ptaka za łepkę i skręciłem mu go jak kurze.

Był bardzo kruchy. Przy pierwszym obrocie czułem, jak pękają kręgi szyjne. Przy drugim, jak krew, żywa i ciepła, cieknie mi po palcach. Było mi go żal. Wyglądało to na zabójstwo. Głowa, jeszcze drżąca, oderwała się od reszty ciała i dygotała w mojej dłoni.

Strużka krwi na tratwie podnieciła ryby. Biały i lśniący brzuch rekina otarł się o burzę. W takiej chwili rekin, rozjuszony zapachem krwi, może jednym kłapnięciem paszczy przeciąć stalową blachę. Ma szczęki w dolnej części ciała, więc musi obracać się przy jedzeniu na grzbiet. Ponieważ jednak jest żarłoczny i ma słaby wzrok, kiedy się przewraca brzuchem do góry, taranuje wszystko, co napotyka na drodze. Mam wrażenie, że rekin chciał uderzyć w tratwę. Przerażony, rzuciłem mu łąpek mewy i widziałem, jak w odległości kilku centymetrów od tratwy zwierzęta toczą straszliwą walkę o ptasią główkę, mniejszą od jajka.

Najpierw chciałem mewę oskubać. Była bardzo lekka i miała takie kruche kości, że można je było łamać w palcach. Próbowałem wyrywać pióra, ale tkwiły tak mocno w skórze, delikatnej i białej, że ciało odrywało się wraz z zakrwawionym pierzem. Czarna i lepka maź w ręku budziła odrazę.

Łatwo powiedzieć, że po pięciu dniach głodowania człowiek zje wszystko. Choćby jednak nie wiem jak był głodny, zawsze będzie czuł wstręt na widok tego zlepku piór oraz ciepłej krwi cuchnącego mocno surową rybą i świerzbem.

Z początku starałem się skubać mewę dokładnie, według jakiejś metody. Nie wziąłem jednak pod uwagę delikatności jej skóry. Gdy wyrywałem pióra, zaczęła mi się rozpadać w rękach. Opłukałem ją wewnątrz tratwy. Wypatroszyłem jednym ruchem, a widok różowych kiszek i innych sinych wnętrzości przyprawił mnie o skurcz żołądka. Włożyłem do ust odrobinę udka, ale nie mogłem go przełknąć. Było to proste. Zdawało mi się, że połykam żabę. Nie mogąc opanować odrazy, wyplułem kawałek, który miałem w ustach, i zastygłem w bezruchu z tym odrażającym ochłapem piór i zakrwawionych kości w dłoni.

Najpierw przyszło mi do głowy, że to, czego nie zjem, może służyć za przynętę. Nie miałem jednak żadnego sprzętu do połowu ryb. Żeby chociaż szpilka, kawałek drutu. Ale nie miałem nic poza kluczami,

zegarkiem, pierścionkiem i trzema pocztówkami kupionymi w Mobile.

Pomyślałem o pasku. Przyszło mi do głowy, że mógłbym przerobić sprzączkę na haczyk. Moje wysiłki były jednak daremne. Nie sposób było zrobić haczyka z klamerki. Zapadła noc i ryby, rozjuszone wonią krwi, skakały dookoła tratwy. Gdy ściemniło się całkowicie, wyrzuciłem do morza resztki mewy i położyłem się, żeby umrzeć. Przygotowując wiosło do ułożenia się, słyszałem odgłosy zawziętej walki zwierząt o kostki, których nie mogłem zjeść.

Myślę, że tej nocy powinienem był umrzeć z rozpacz i wyczerpania. Od pierwszych godzin zerwał się silny wiatr. Tratwa podrygiwała, a ja, nie pomyślawszy nawet o tym, żeby przywiązać się linkami, leżałem wycieńczony w wodzie, z nogami i głową na powierzchni.

Po północy wydarzyło się coś nowego: wzeszedł księżyc. Po raz pierwszy od dnia wypadku. W jego sieniej poświacie niebo przybrało widmowy wygląd. Tej nocy Jaime Manjerres nie przyszedł. Byłem sam, załamany, zdany na łaskę losu na dnie tratwy.

A jednak ilekroć upadałem na duchu, działo się coś, co budziło we mnie nadzieję. Tej nocy był to odblask księżyca na falach. Morze było rozkołysane i zdawało mi się, że na każdej fali widzę światła statku. Dwie doby temu straciłem już wszelką nadzieję na spotkanie statku. A mimo to przez całą noc rozjaśnioną księżycową poświatą – moją szóstą noc na morzu – rozpaczliwie lustrowałem widnokrąg prawie z takim samym natężeniem i wiarą jak pierwszej nocy. Gdybym dzisiaj znalazł się w tej samej sytuacji, umarłbym chyba z rozpacz: wiem teraz, że trasą, po której sunęła tratwa, nie pływają żadne statki.

Byłem martwy

Nie pamiętam świtu dnia szóstego. Mam tylko mgliste wyobrażenie, że cały ranek przeleżałem na dnie tratwy, zawieszony między życiem a śmiercią. Myślałem o swojej rodzinie i widziałem ją taką, jaka była – o czym mi teraz opowiedziano – w dniach po moim zniknięciu. Nie zaskoczyła mnie wiadomość, że odprawiono za mnie egzekwie. W ten szósty ranek morskiej samotności wyobrażałem sobie, że wszystko tak

się właśnie odbywa. Wiedziałem, że powiadomiono rodzinę o moim zniknięciu. Czułem, że zaniechano poszukiwań i uznano mnie za zmarłego, bo samoloty więcej się już nie pokazały. Cały czas próbowałem się bronić. Znajdowałem zawsze sposób na przetrwanie, jakiś punkt oparcia, choćby najbardziej błahy, aby nie tracić nadziei. Ale szóstego dnia niczego się już nie spodziewałem. Leżałem na tratwie martwy.

Po południu na myśl, że zaraz będzie piąta i znowu pojawią się rekiny, uczyniłem rozpaczliwy wysiłek, by się podnieść i przywiązać do tratwy. Przed dwoma laty w Cartagenie widziałem na plaży szczątki człowieka rozszarpanego przez rekiny. Nie chciałem tak umierać. Nie chciałem być rozerwany na kawałki pośród ławicy nienasyconych ryb.

Zbliżała się piąta. Rekiny, punktualne, już krążyły wokół tratwy. Podniosłem się z trudem, żeby rozplątać linki. Popołudnie było chłodne. Morze spokojne. Poczułem się trochę raźniej. Nagle zobaczyłem siedem mew z poprzedniego dnia i ich widok dodał mi nowej chęci do życia. W tej chwili zjadłbym byle co. Dokuczał mi głód. Najgorszy jednak był ból gardła i szczęk, stwardniałych z bezczynności. Musiałem coś żuć. Chciałem oderwać skrawek gumy z pantofli, ale nie miałem czym. I wtedy przypomniałem sobie o pocztówkach ze sklepu w Mobile.

Tkwiły w jednej kieszeni spodni, prawie zupełnie zniszczone przez wodę. Podarłem je, włożyłem do ust i zacząłem żuć. Było to coś cudownego: poczułem lekką ulgę w gardle, a ślina napłynęła mi do ust. Gryzłem powoli, jakby to była guma do żucia. Po pierwszym kęsie bolały mnie szczęki. Ale potem, w miarę jak żułem pocztówki, które nie wiedzieć czemu nosiłem przy sobie od chwili, gdy poszedłem z Mary Address na zakupy, poczułem się silniejszy i pewniejszy siebie. Pomyślałem, że byłoby marnotrawstwem wyrzucić je do morza. Czułem, jak do żołądka spływa drobna papierowa papka, i od tej chwili miałem wrażenie, że się uratuję, że nie rozszarpią mnie rekiny.

Jak smakują buty?

Ulga, jaką mi przyniosły te kartki, pobudziła wyobraźnię, więc

zaczęłam szukać jeszcze czegoś do zjedzenia. Gdybym miał nóż, pociąłbym buty na kawałki i żułbym pasemka kauczuku. W zasięgu ręki to właśnie najbardziej nęciło. Próbowałam podważyć klucami czystą i białą podeszwę. Moje wysiłki były jednak daremne. Nie sposób było oderwać kauczuku, mocno zespolonego z płótnem.

Zrozpaczony gryzłem pasek od spodni, aż rozboleły mnie zęby. Nie mogłem oderwać ani kęsa. Musiałem wyglądać jak dzikie zwierzę, kiedy tak próbowałam odgryźć zębami kawałek buta, pasa i koszuli. Wieczorem zdjąłem ubranie, było całe mokre. Zostałem w kąpielówkach. Nie wiem, czy należy to przypisać pocztówkom, ale prawie natychmiast zasnąłem. Tej siódmej nocy – może dlatego, że już się przyzwyczailem do niewygody na tratwie, a może byłem wyczerpany siedmioma bezsennymi nocami – przez kilka godzin spałem głębokim snem. Czasami budziła mnie fala: podrywałem się wystraszony, czując, że spycha mnie do wody – ale prawie natychmiast znowu zasypiałem.

Świtało, zaczynał się mój siódmy dzień na morzu. Nie wiem, dlaczego byłem pewny, że nie jest to dzień ostatni. Morze było spokojne i zamglone, a kiedy pokazało się słońce, mniej więcej o ósmej, czułem się pokrzepiony dobrym snem ostatniej nocy. Koło tratwy, pod niskim i ołowianym niebem, przeleciało siedem mew.

Przed dwoma dniami ucieszyłem się ogromnie z ich obecności. Teraz, kiedy zobaczyłem je po raz trzeci, po dwóch kolejnych dniach, obleciał mnie strach. „Siedem zabłąkanych mew”, przemknęło mi przez głowę. Myślałem o tym z rozpaczą. Każdy marynarz wie, że czasami stadko mew gubi się na morzu i błąka się potem wiele dni, aż napotka statek, który wskaże drogę do portu. Być może mewy, jakie widziałem w ciągu tych trzech dni, były codziennie tymi samymi zagubionymi. Znaczyłoby to, że tratwa coraz bardziej oddala się od lądu.

ROZDZIAŁ VIII

Walka z rekinami o rybę

Myśl, że w ciągu tych siedmiu dni zamiast przybliżyć się, coraz bardziej oddalam się od lądu, zabiła we mnie chęć walki. Ale gdy stajemy oko w oko ze śmiercią, budzi się instynkt przetrwania. Z wielu powodów dzień ten – mój siódmy dzień – różnił się od poprzednich: morze było spokojne i ciemne, słońce grzało skórę, było ciepło i pogodnie, a lekka bryza łagodnie popychała tratwę i przynosiła pewną ulgę poparzonemu ciału.

Także ryby były inne. Od świtu towarzyszyły tratwie. Pływały tuż pod powierzchnią. Widziałem je wyraźnie: niebieskie, brunatne i czerwone. Były we wszystkich kolorach. Miały różne kształty i wielkość. Zdawało się, że otoczona przez nie tratwa unosi się po powierzchni akwarium.

Nie wiem, czy po siedmiu dniach dryfowania o pustym żołądku człowiek przyzwyczaja się do takiego życia. Myślę, że tak. Wczorajsza rozpacz ustąpiła miejsca ospalej i niedorzecznej rezygnacji.

Byłem pewny, że wszystko się odmieniło, że niebo i morze nie są już wrogię, a towarzyszące mi ryby, stare znajome od siedmiu dni, są wobec mnie usposobione przyjaźnie.

Tego ranka nie myślałem już, że dokądkolwiek dotrę. Byłem pewny, że tratwa znalazła się w strefie, którą omijają statki, gdzie gubią się nawet mewy.

Ale myślałem również, że po siedmiu dniach dryfowania przywyknę wreszcie do morza, do tego niewesołego trybu życia, bez wysilania fantazji, aby przetrwać. W końcu wytrzymałem już tydzień na przekór wszystkim przeciwnościom. Dlaczego nie miałbym żyć tak, na tratwie, bez końca? Ryby pływały po powierzchni, morze było czyste i ciche.

Dookoła było tyle pięknych i nęcących stworzeń, iż zdawało mi się, że mógłbym je chwycić gołymi rękoma. W zasięgu wzroku nie było żadnego rekina. Ufnie włożyłem dłoń do wody i próbowałem złapać okrągłą rybę, jaskrawo niebieską, nie dłuższą niż dwadzieścia centymetrów. Jakbym rzucił kamień. Wszystkie ryby błyskawicznie się pogrążyły. Ukryły się pod wodą, w jednej sekundzie spienioną. Potem z wolna zaczęły wypływać na powierzchnię.

Pomyślałem, że muszę być bardziej przebiegły, jeśli chcę coś złapać. Pod wodą dłoń nie ma tej siły ani zwinności. Upatrywałem sobie jakąś rybę. Próbowałem ją schwycić. I rzeczywiście chwyciłem. Ale czułem, jak mi się wyślizguje z dłoni z zaskakującą szybkością i zręcznością. Cierpliwie, bez pośpiechu starałem się złapać choć jedną rybę. Nie myślałem o rekinie, który być może krążył gdzieś tutaj w głębinie, czyhając, aż zanurzę rękę po łokieć, by oderwać ją jednym pewnym szarpnięciem swych zębów. Minęła dziesiąta, a ja wciąż byłem zajęty połowem. Ale nic z tego. Gryzły mnie w palce, z początku łagodnie, jakby próbowały przynęty. Potem silniej. Jakaś półmetrowa ryba rozdrapała mi skórę na kciuku. Dopiero wtedy zauważyłem, że i ukąszenia innych ryb nie były niewinne. Na wszystkich palcach miałem drobne, krwawiące zadrapania.

Rekin na tratwie!

Nie wiem, czy to z powodu krwi, ale wkrótce zakłębiło się wokół tratwy od rekinów. Nigdy nie widziałem ich tyle. Nigdy nie dały takiego popisu swojej krwiożerczości. Skakały obok tratwy jak delfiny, uganiając się za rybami i pożerając je. Przerażony usiadłem na środku tratwy i przyglądałem się tej rzezi.

Stało się to tak nagle, że nie zauważyłem, kiedy jakiś rekin wyskoczył z wody, mocno uderzył płetwą ogonową, a rozchwiana tratwa pogrążyła się w błyszczącej pianie. W łsnieniu fali, która rozbiła się o burzę, dostrzegłem metaliczny błysk. Instynktownie złapałem wiosło i zacząłem wymierzać śmiertelne ciosy: byłem przekonany, że do tratwy wpadł rekin, ale w tej samej chwili zobaczyłem olbrzymią płetwę obok tratwy i zrozumiałem wszystko.

Ścigana przez rekina ryba, błyszcząca i zielona, długa na blisko pół metra, wskoczyła do środka. Ze wszystkich sił wymierzyłem wiosłem pierwszy cios w głowę.

Niełatwo jest zabić rybę na tratwie. Przy każdym uderzeniu tratwa chwieje się; grozi wywrotką. Chwila była straszliwie niebezpieczna. Potrzebowałem wszystkich swoich sił i całej przytomności umysłu. Gdybym zaczął teraz tłuc wiosłem bez opamiętania, tratwa mogłaby się wywrócić. Wpadłbym do wody pełnej wygłodniałych rekinów. Ale gdybym nie trafił, zdobycz umknęłaby. Znalazłem się między życiem i śmiercią. Albo skończę w paszczy rekina, albo będę miał cztery funty świeżej ryby na zaspokojenie siedmiodniowego głodu. Mocno oparłem się o burtę i wymierzyłem drugi cios. Czułem, jak drzewce wchodzi w kościsty łeb ryby. Tratwa zachybotała się. Rekiny zakłębiły się pod dnem. Przywarłem jednak mocno do burty. Kiedy tratwa odzyskała równowagę, ryba w środku jeszcze żyła. Zdychająca ryba może skoczyć dalej i wyżej niż kiedykolwiek. Wiedziałem, że trzecie uderzenie musi być celne, bo inaczej stracę zdobycz.

Jednym susem siadłem na podłodze; w ten sposób miałem większe szanse pochwycenia jej. Gdyby zaszła potrzeba, pomógłbym sobie piętami, kolanami albo zębami. W przekonaniu, że nie wolno mi chybić, bo całe moje życie zależy od tego uderzenia, ze wszystkich sił zamachnąłem się wiosłem. Zwierzę znieruchomiało od ciosu, a strużka ciemnej krwi zabarwiła wodę w tratwie.

Ja sam poczułem zapach krwi. Wyczuły ją także rekiny.

I dopiero teraz, gdy już miałem cztery funty ryby, ogarnął mnie niepokonany strach: drapieżniki rozjuszony wonią krwi z całych sił uderzały o dno. Tratwa chwiała się. Wiedziałem, że lada moment może się wywrócić. Była to kwestia sekund. Błyskawicznie zostałem rozszarpany przez trzy rzędy stalowych zębów, jakie rekiny mają w każdej szczękę.

A jednak głód był silniejszy od wszystkiego. Ścisnąłem rybę nogami i balansując ciałem starałem się przywrócić tratwie równowagę po każdym nowym ataku bestii. Trwało to wiele minut. Gdy tylko przestawała się kołysać, wylewałem ze środka zakrwawioną wodę. Stopniowo oczyściłem ją i rekiny uspokoiły się. Musiałem się jednak mieć na baczności, straszliwa płetwa – rekina lub jakiegoś innego

drapieżnika – największa, jaką w życiu widziałem, sterczała przeszło metr nad wodą. Bestia pływała spokojnie, ale wiedziałem, że gdyby znowu poczuła zapach krwi, jednym uderzeniem wywróciłaby tratwę. Z wielką ostrożnością zabrałem się do patroszenia mojej ryby.

Półmetrowe zwierzę chronił twardy pancerz z łusek. Kiedy je próbowałem oderwać, czułem, że przywierają do ciała, jakby były ze stali. Nie miałem nic do krojenia. Próbowałem podważyć łuski kluczami, ale nie udawało mi się nawet ich poruszyć. I wtedy spostrzegłem, że jest to ryba, jakiej nigdy jeszcze nie widziałem: była cała ciemnozielona i cała okryta łuską. Od dzieciństwa łączyłem kolor zielony z trucizną. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale przez chwilę – choć żołądek skurczył się boleśnie na samą myśl o kęsie świeżej ryby – zahałem się, czy to dziwne stworzenie nie jest przypadkiem trujące.

Moje biedne ciało

Głód można znieść tylko wówczas, gdy nie ma nadziei na zdobycie pożywienia. Nigdy nie dawał mi się we znaki w sposób równie bezwzględny jak tego ranka, gdy siedząc na dnie tratwy, próbowałem rozerwać kluczami zielone i lśniące ciało.

Po paru minutach zrozumiałem, że muszę postępować brutalniej, jeśli chcę zjeść swoją zdobycz. Wstałem, przydeptałem rybi ogon i jeden koniec wiosła wepchnąłem w skrzela. Miała gruby i mocny pancerz. Wierciłem wiosłem i w końcu udało mi się je rozerwać. Zdałem sobie sprawę, że ryba jeszcze żyje. Wymierzyłem nowy cios w głowę. Potem próbowałem wyszarpać twarde płytki ochraniające skrzela i w tej chwili nie wiedziałem, czy krew ciekąca po palcach jest moja czy też ryby. Dłonie miałem pokaleczone, a opuszki palców zdarte do żywego ciała.

Krew rozjuszyła wygłodniałe rekiny. Trudno uwierzyć, ale w tym momencie, czując wokół siebie wściekłość głodnych bestii i pełen wstrętu do zakrwawionego ciała, gotów byłem cisnąć rekinom tę rybę, jak to zrobiłem z mewą. Byłem załamany, bezradny wobec tego twardego, nieprzeniknionego ciała.

Obmacałem je starannie, szukając słabych miejsc. Wreszcie

znalazłem szczelinę pod skrzelami i palcem zacząłem wyciągać wnętrzności. Rybie trzewia są miękkie i rozlazłe. Mówią, że jak się mocno stuknie rekina w ogon, to żołądek i kiszki wypadną przez pysk. W Cartagenie widziałem rekiny powieszony za ogony, z wielką, ciemną i lepłą mazią trzewi lejącą się spomiędzy szczęk.

Na szczęście trzewia mojej ryby były równie miękkie jak u rekina. W jednej chwili wydostałem je palcem. Była to samica: wśród wnętrzności znalazłem pęcherzyk z ikrą. Kiedy była już całkowicie wypatroszona, po raz pierwszy wpiłem się w nią zębami. Nie mogłem przegryźć pancerza łusek. Przy drugiej próbie, odzyskawszy siły, gryzłem tak rozpaczliwie, że aż poczułem ból w szczękach. Wreszcie udało mi się oderwać pierwszy kęs i zacząłem żuć zimne i twarde mięso.

Żułem ze wstrętem. Zawsze budził we mnie odrazę zapach surowej ryby. Ale w smaku jest jeszcze obrzydliwsza: przypomina trochę surowy owoc palmy chontaruro, z tym że jest bardziej mdła i lepka. Nikt nie zjadł jeszcze całej żywej ryby. Kiedy żułem to moje pierwsze od siedmiu dni pożywienie, miałem odrażającą pewność, że po raz pierwszy w życiu pożeram rybę żywcem.

Pierwszy kawałek przyniósł mi natychmiastową ulgę. U gryzłem po raz drugi i znowu zacząłem przeżuwać. Przed chwilą myślałem, że zjem całego rekina. Po drugim kęsie poczułem się syty. Straszliwy, siedmiodniowy głód w jednej chwili przestał mi dokuczać. Czułem się znowu silny jak pierwszego dnia.

Wiem teraz, że surowa ryba zaspokaja pragnienie. Dawniej nie wiedziałem o tym, choć zauważyłem, że ryba uśmierzyła nie tylko mój głód, ale i suchość w gardle. Byłem zadowolony i pełen optymizmu. Starczy mi jeszcze jedzenia na długo, bo odgryzłem tylko dwa kęsy z tego półmetrowego zwierzęcia.

Postanowiłem owinać je koszulą i położyć na dnie tratwy, żeby zachowało świeżość. Przedtem jednak należało je opłukać. W roztargnieniu złapałem rybę za ogon i zanurzyłem w wodzie koło tratwy. Między łuskami zauważyłem zakrzepłą krew. Należało ją wyszorować. Nierozważnie zanurzyłem rybę jeszcze raz. I właśnie wtedy poczułem uderzenie i gwałtowne kłapanięcie rekiniej paszczy. Ze wszystkich sił ścisnąłem rybi ogon. Szarpnięcie bestii przewróciło

mnie. Uderzyłem się o krawędź tratwy, ale nie wypuściłem jedzenia. Broniłem się jak dzikie zwierzę. Nie myślałem w tym ułamku sekundy, że nowe szarpnięcie może wyrwać mi rękę ze stawu. Pociągnąłem jeszcze raz z całych sił, ale już nie miałem nic w dłoniach. Rekin porwał moją zdobycz. Wściekły, oszalały z rozpacz i gniewu, chwyciłem wiosło i wymierzyłem straszliwy cios w łeb rekina, kiedy znowu zjawiał się koło tratwy. Bestia podskoczyła. Wróciła rozwścieczona i jednym kłapnięciem szczęk, suchym i gwałtownym, przełamała i połknęła połówkę wiosła.

ROZDZIAŁ IX

Kolor wody zaczyna się zmieniać

Zrozpaczony i wściekły uderzyłem połamanym wiosłem w wodę. Musiałem zemścić się na rekinach za to, że pozbawiły mnie jedyne go pożywienia, jakie miałem. Zbliżała się piąta po południu mojego siódmego dnia na morzu. Za chwilę rekiny nadpłyną całą masą. Czułem się silniejszy dzięki dwóm przełkniętym kęsom, a gniew spowodowany utratą reszty ryby dodał mi dziwnej otuchy do walki. Miałem jeszcze na tratwie dwa wiosła. Przyszło mi do głowy zastąpić wiosło połamane przez rekina jakimś innym, nadającym się do dalszej walki, ale instynkt przetrwania okazał się silniejszy od złości: pomyślałem, że mógłbym stracić pozostałe wiosła, a nie wiadomo, kiedy się jeszcze przydadzą.

Wieczór nie różnił się od dotychczasowych. Ale noc była ciemniejsza. Morze się burzyło. Zbierało się na deszcz. Myśląc, że lada moment będę miał wodę do picia, zdjąłem pantofle i koszulę, żeby mieć jej gdzie nałapać. Była to, jak się mówi na lądzie, „noc pod psem”. Na morzu należałoby chyba powiedzieć „noc pod rekinem”.

Przed dziesiątą powiał silny wiatr. Starłem się wytrzymać jakoś na dnie tratwy, ale było to niemożliwe. Chłód przenikał do szpiku kości. Musiałem znowu nałożyć koszulę i buty i pogodzić się z myślą, że deszcz zaskoczy mnie i nie będę miał w co nałapać wody. Kiwało bardziej niż w południe 28 lutego, w dzień wypadku. Tratwa przypominała łupinkę na rozkołysanym i brudnym morzu. Nie mogłem zasnąć. Zanurzyłem się w wodzie po szyję, bo wiatr był coraz zimniejszy. Dygotałem. W pewnej chwili pomyślałem, że dłużej nie zniosę tego zimna, i zacząłem się gimnastykować, aby choć trochę się rozgrzać. Nie wychodziło mi to. Czułem się bardzo osłabiony.

Musiałem się mocno trzymać krawędzi tratwy, żeby wysokie fale nie zmyły mnie. Oparłem głowę o wiosło zniszczone przez rekina. Pozostałe leżały na dnie.

Przed północą wichura wzmogła się, niebo zwało, było ciemnoszare, a powietrze przesycone wilgocią, lecz nie spadła ani kropla deszczu. Kilka minut po północy olbrzymia fala – równie wielka jak ta, która zmiotła nas z niszczyciela – uniosła tratwę jak łupinę, wspięła się prostopadle i w ułamku sekundy obróciła ją do góry dnem.

Zdałem sobie sprawę ze wszystkiego już w wodzie, kiedy wypływałem na powierzchnię; jak w dniu wypadku. Zamachałem rozpaczliwie rękoma, wynurzyłem się i zamarłem z przerażenia: tratwy nie było. Zobaczyłem nad głową wielkie czarne fale i przypomniał mi się Luis Rengifo, silny mężczyzna i dobry pływak, który nie był w stanie pokonać dwóch metrów dzielących go od tratwy. Straciłem orientację i szukałem tratwy nie z tej strony. Lekka, uderzona falami, wynurzyła się za mną w odległości około metra. Osiągnąłem ją dwoma ruchami ramion. Dwa wymachy wykonuje się w ciągu dwóch sekund; te dwie sekundy trwały jednak wieczność. Byłem tak wystraszony, że jednym susem znalazłem się na dnie tratwy, cały mokry i zdyszany. Serce waliło mi jak młot i nie mogłem złapać tchu.

Pod dobrą gwiazdą

Nie mogłem narzekać na los. Gdyby wywrotka miała miejsce o piątej po południu, rozszarpałyby mnie rekiny. O północy jednak zwierzęta odpoczywają. Zwłaszcza gdy morze jest niespokojne.

Kiedy się znowu znalazłem na tratwie, trzymałem mocno w dłoni wiosło zniszczone przez rekina. Stało się to tak nagle, że wszystkie moje odruchy były instynktowne. Dopiero później przypomniałem sobie, że gdy spadałem do wody, wiosło uderzyło mnie w głowę i złapałem je przed zanurzeniem się. Było to teraz jedyne wiosło na tratwie. Dwa inne zostały w morzu.

Żeby nie stracić chociaż tej resztki połamanego przez rekiny drąga, przywiązałem go mocno do jednej z luźnych linek siatki. Morze dalej

kipiało. Tym razem miałem szczęście. Gdyby jednak tratwa wywróciła się po raz drugi, kto wie, czy udałoby mi się ją złapać. Myśląc o tym rozpiąłem pasek i silnie przywiązałem się do siatki.

Tratwa tańczyła na mętym i wzburzonym morzu, ale ja czułem się bezpiecznie, przywiązany paskiem do siatki. Wiosło również było zabezpieczone. Starając się nie dopuścić do nowej wywrotki, myślałem, że niewiele brakowało, a straciłbym koszulę i pantofle. Gdyby nie to zimno, leżałyby w czasie wywrotki luzem i razem z wiosłami poszłyby na dno. Jest czymś normalnym, że na wzburzonym morzu tratwa wywraca się do góry dnem. Jest cała z korka obciągniętego nieprzemakalną tkaniną w kolorze białym. Podłoga nie jest jednak stała, lecz zwisa z korkowej ramy jak kosz. Tratwa może się wywrócić, ale podłoga natychmiast wraca do normalnego położenia. Jedynym niebezpieczeństwem jest wypadnięcie z tratwy. Dlatego myślałem, że dopóki jestem przywiązany, może się wywracać choćby tysiąc razy i nie wypadnę z niej.

Była to prawda, ale jednego nie przewidziałem: w kwadrans po pierwszej wywrotce tratwa pokazowo przewróciła się drugi raz. Najpierw wydało mi się, że zawisłem w zimnym i wilgotnym powietrzu smagany wiatrem. Ujrzałem przed sobą otchłań i wiedziałem już, na którą stronę tratwa przekoziółkuje. Próbowałem pchnąć ją w przeciwnym kierunku, przywrócić równowagę, ale przeszkadzał mi w tym mocny, skórzany pas przywiązany do siatki. W jednej chwili zrozumiałem, co się dzieje: miałem wywrotkę. Znalazłem się pod dnem tratwy, mocno uczepony burty. Dusłem się i na próżno szukałem rękoma sprzączki paska, aby go rozpiąć.

Rozpaczliwie, starając się jednak nie tracić zimnej krwi, próbowałem otworzyć klamrę. Wiedziałem, że nie mam wiele czasu: w dobrej formie mogę wytrzymać pod wodą przeszło osiemdziesiąt sekund. Przestałem oddychać w chwili, gdy poczułem, że jestem pod tratwą. Upłynęło co najmniej pięć sekund. Przesunąłem dłońią po brzuchu i w niecałą sekundę namacałem pasek. W następnej sekundzie odnalazłem sprzączkę. Wplątała się w siatkę tak, że musiałem podciągnąć się jedną ręką, aby ją rozluźnić. Długo szukałem miejsca, gdzie mógłbym się mocno chwycić. Potem podciągnąłem się lewą dłońią. Prawa odnalazła sprzączkę, zorientowała się szybko i rozpięła

pas. Z klamrą w dłoni zanurzyłem się znowu, nie puszczając ani na chwilę tratwy, i w ułamku sekundy odczepiłem się od siatki. Czułem, że płuca mi pękają. Ostatnim wysiłkiem złapałem się obiema rękoma burty; trzymałem się resztką sił, nadal nie oddychając. Mimowolnie osiągnąłem tylko to, że obciążona tratwa wywróciła się jeszcze raz. I znowu byłem pod spodem.

Łykałem już wodę. Spalone pragnieniem gardło piekło straszliwie. Nie zdawałem sobie jednak z tego sprawy. Najważniejsze to nie wypuścić z rąk tratwy. Udało mi się wynurzyć głowę. Zaczerpnąłem powietrza. Byłem skonany. Nie myślałem, że starczy mi sił, aby wdrapać się jeszcze przez burzę. Ale natychmiast ogarnęło mnie przerażenie, że jestem w wodzie, w której parę godzin temu roiło się od rekinów. W przekonaniu, że będzie to dziś mój ostatni w życiu wysiłek, zebrałem resztki energii, zawisłem na burcie i wyczerpany zwałem się na dno tratwy.

Nie wiem, jak długo leżałem tam na plecach, z obolałym gardłem i drżącymi, zdartymi do krwi dłońmi. Wiem tylko, że dręczyły mnie jednocześnie dwie sprawy: żeby moje płuca wreszcie odpoczęły i żeby tratwa nie wywróciła się znowu.

Tak zaczynał się mój ósmy dzień na morzu. Ranek zapowiadał burzę. Gdyby teraz spadł deszcz, nie miałbym nawet sił nałapać wody. Czułem, że deszcz pozwoliłby mi przyjść do siebie. Ale nie spadła ani kropla, mimo że wilgoć wisząca w powietrzu była jakby zapowiedzią bliskiej ulewy. Morze o świcie było jeszcze wzburzone. Uspokoilo się po ósmej. Wtedy jednak wzeszło słońce, a niebo przybrało znowu intensywną błękitną barwę. Zupełnie wyczerpany wychyliłem się i pociągnąłem kilka łyków morskiej wody. Wiem teraz, że jest to wskazane dla organizmu. Wtedy jednak nie wiedziałem o tym i sięgałem po nią tylko wówczas, gdy ból gardła stawał się nie znośny. Po siedmiu dniach bez wody pragnienie dokucza inaczej: jest to przejmujący ból w gardle, w okolicy mostka, a zwłaszcza pod obojczykami. I rozpaczliwa duszność. Słona woda przyniosła mi ulgę.

Po burzy niebo jest błękitne, jak na obrazach. Przy brzegu pływają leniwe pnie i korzenie powyrywane przez sztorm. Mewy wylatują znowu nad morze. Tego ranka, gdy ustała bryza, powierzchnia wody znowu była metaliczna, a tratwa łagodnie sunęła przed siebie. Ciepły

wiatr dodał otuchy mojej duszy i ciału.

Duża mewa, ciemna i stara, przeleciała nad tratwą. Nie miałem już wątpliwości, że jestem blisko ziemi. Mewa, którą złapałem przed paroma dniami, była młoda. W tym wieku potrafią latać bardzo daleko. Można je spotkać wiele mil od lądu. Ale mewa stara, duża i ciężka, jak ta, która krążyła nad tratwą ósmego dnia, nie oddała się więcej niż sto mil od brzegu. Poczułem, że wraca mi chęć do życia. Podobnie jak w pierwszych dniach zacząłem wpatrywać się w widnokrąg. Ze wszystkich stron nadlatywały mewy.

Poczułem się raźniej, miałem już towarzystwo. Nie dokuczał mi głód. Częściej niż przedtem pociągałem łyk morskiej wody. Czułem, że nie jestem sam pośród tego stada mew krążących nad moją głową. Przypomniała mi się Mary Address. „Co teraz porabia?”, pomyślałem, wspominając jej głos, gdy pomagała mi tłumaczyć dialogi w kinie. Właśnie tego dnia – jedyne, w którym bez żadnego specjalnego powodu, tylko dlatego, że na niebie było pełno mew, przypomniałem sobie Mary Address – była na mszy za spokój mej duszy w katolickim kościele w Mobile. Mszę tę – jak napisała mi Mary do Cartageny – odprawiono ósmego dnia po moim zniknięciu. Za spokój mojej duszy. I myślę, że także za spokój mego ciała, bo tego ranka, kiedy wspominałem Mary Address, a ona słuchała mszy w Mobile, ogarnęło mnie uczucie szczęścia na widok mew zapowiadających bliski ląd.

Prawie cały dzień siedziałem na brzegu tratwy i lustrowałem widnokrąg. Dzień był zadziwiająco przejrzysty. Byłem pewny, że dostrzegłbym ląd nawet z odległości pięćdziesięciu mil. Tratwa nabrała prędkości, jakiej nie nadaliby jej dwaj wiosłarze. Płynęła prosto przed siebie po gładkiej i błękitnej powierzchni, jakby popychana motorem.

Po siedmiu dniach na tratwie człowiek potrafi zauważyć najdrobniejszą zmianę koloru wody. Siódmego marca, o trzeciej trzydzieści po południu, spostrzegłem, że tratwa wpłynęła na obszar, gdzie woda nie jest już granatowa, lecz ciemnozielona. W pewnej chwili wyraźnie widziałem granicę: po jednej stronie granatowa tafla wody, jaką oglądałem przez siedem dni, po drugiej zielonkawa i jakby bardziej zawieszista. Na niebie roiło się od krążących nisko mew. Czułem nad głową silny łopot ich skrzydeł. Były to nieomyślne znaki: zmiana barwy wody i obfitość mew mówiły mi, że tej nocy muszę

czuwać, być gotowy w każdej chwili odkryć pierwsze światła brzegu.

ROZDZIAŁ X

Stracone nadzieje... aż do śmierci

Nie musiałem się zmuszać do spania tej ósmej nocy na morzu. Stara mewa przysiadła na brzegu tratwy o dziesiątej i nie opuściła jej przez resztę nocy. Leżałem na jedynym wiośle, jakie mi zostało: na tym kawałku potrzaskanym przez rekina. Noc była spokojna, a tratwa sunęła prosto do jakiegoś celu. „Dokąd płynę?”, pytałem siebie, wnosząc ze wszystkich znaków – koloru wody i starej mewy – że już jutro stanę na lądzie. Nie miałem najmniejszego pojęcia, dokąd zmierza tratwa popychana wiatrem. Nie byłem pewny, czy zachowuję początkowy kurs. Gdyby płynęła w stronę, gdzie zniknęły samoloty, możliwe, że dotarłbym do Kolumbii. Bez kompasu nie sposób było jednak cokolwiek powiedzieć. Gdyby płynęła prosto na południe, dobiłbym do kolumbijskich brzegów Morza Karaibskiego. Prawdopodobne jest jednak i to, że podąża na północ. Dlatego nie miałem najmniejszego pojęcia o własnej POZYCJI.

Przed północą, kiedy już zaczął mnie morzyć sen, stara mewa zbliżyła się i dziobnęła mnie raz i drugi w głowę. Nie czyniła mi krzywdy. Uderzała dziobem łagodnie, nie zadając bólu owłosionej skórze. Jakby mnie łaskotała. Przypomniał mi się ogniomistrz z niszczyciela, ten który mówił, że nie godzi się marynarzowi zabijać mewy, poczułem wyrzuty sumienia z powodu małej mewy, którą niepotrzebnie uśmierciłem.

Aż do świtu lustrowałem widnokrąg. Tej nocy nie czułem chłodu. Nie mogłem jednak wypatrzeć żadnych świateł. Ani śladów brzegu. Tratwa sunęła po widnym spokojnym morzu, a wokół mnie iskrzyły się tylko gwiazdy. Kiedy leżałem spokojnie, mewa zdawała się drzemać. Opuszczała łepkę i nieruchomiała, przycupnięta na brzegu. Ilekroć

poruszałem się, podskakiwała i dziobała mnie w głowę.

O świcie zmieniłem pozycję. Miałem teraz mewę w nogach.

Czułem, jak mi dziobie pantofle. Później poczułem, jak przesuwa się z boku. Znieruchomiałem. Mewa również przestała się poruszać. Potem usadowiła się przy mojej głowie, również nieruchomej. Ale gdy tylko poruszałem nią, zaczynała mnie dziobać we włosy. Wyglądało to na zabawę. Wielokrotnie zmieniłem pozycję. Mewa zawsze zajmowała miejsce przy głowie. Nad ranem, bez zachowywania czujności, wyciągnąłem rękę i złapałem mewę za szyję.

Nie chciałem jej zabijać. Doświadczenie z poprzednią mewą mówiło mi, że byłaby to ofiara daremna. Dokuczał mi głód, ale nie myślałem wcale uśmierzać go mięsem tego przyjaznego stworzenia, które spędziło przy mnie całą noc, nie czyniąc mi krzywdy. Kiedy ją schwyciłem, rozpostarła skrzydła i gwałtownym ruchem próbowała się uwolnić. Błyskawicznie założyłem mewie skrzydła, by ją obezwładnić. Wtedy podniosła łepkę i w porannym świetle zobaczyłem jej oczy, przezroczyście i wylęknione. Gdybym nawet miał kiedyś zamiar ją uśmiercić, po ujrzeniu tych wielkich i smutnych oczu musiałbym się rozmyślić.

Słońce wzeszło wcześniej, tak ostre, że już po siódmej powietrze zaczęło wrzeć. Leżałem dalej na tratwie, mocno trzymając mewę. Morze było wciąż zielonkawe i zawiesiste, jak wczoraj, ale nigdzie ani śladu ziemi. Było duszno. I wtedy wypuściłem mego więźnia, który potrząsnął łepkiem i pomknął ku niebu. W chwilę potem przyłączył się do jakiegoś stadka.

Tego ranka – już ósmego na morzu – słońce prażyło dokuczliwiej niż w dniach poprzednich. Starąłem się chronić klatkę piersiową, całe plecy miałem w pęcherzach. Musiałem odłożyć wiosło, o które się opierałem, i zanurzyć w wodzie, bo nie mogłem dłużej znieść dotyku drewna. Miałem spalone barki i ramiona. Nie mogłem nawet dotknąć skóry palcami, gdyż parzyły jak rozpalone do białości węgle. Piekły mnie oczy. Na niczym nie mogłem zatrzymać wzroku, bo natychmiast pojawiały się w powietrzu jaskrawe, oślepiające kręgi. Nie zdawałem sobie dotychczas sprawy, w jakim opłakanym stanie się znajduję. Byłem bliski śmierci, cały pokryty jęczącymi się od słońca i wody ranami. Bez trudu zdierałem z ramion długie płaty skóry. Pod nią była

czerwona i gładka powierzchnia. W chwilę potem czułem, jak odarte miejsce drży boleśnie, a krew sączy się przez pory.

Nie zauważyłem, że mam brodę. Nie goliłem się jedenaście dni. Gęsty zarost zakrywał mi szyję, ale nie mogłem go dotykać, gdyż straszliwie bolała mnie poparzona skóra. Myśl o własnej wyniszczonej twarzy, o ciele pokrytym pęcherzami przypomniała mi, jak wiele wycierpiałem w tych dniach samotności i rozpacz. I znowu poczułem się załamany. Nigdzie ani śladu ziemi. Było południe i straciłem już nadzieję na dotarcie do lądu. Choćby tratwa płynęła nie wiem jak szybko, nie osiągnie brzegu przed zapadnięciem nocy, skoro nie pojawiły się dotąd z żadnej strony zarysy lądu.

Chcę umrzeć

Radość ostatnich dwunastu godzin w jednej minucie prysła bez śladu. Siły opuściły mnie. Pozbyłem się wszystkich zmartwień. Po raz pierwszy od dziewięciu dni wyciągnąłem się na brzuchu, wystawiwszy spalone plecy na słońce. Nie miałem litości dla własnego ciała. Wiedziałem, że udusiłbym się przed zapadnięciem zmroku, gdybym leżał tak dłużej.

Jest taka chwila, kiedy nie czuje się już bólu. Wrażliwość znika, a rozsądek tępieje, aż zatraci się poczucie czasu i miejsca. Leżąc na brzuchu, z rękoma pod brodą i z brodą na rękach, czułem najpierw bezlitosne ukąszenia słońca. Widziałem przez wiele godzin powietrze pełne jaskrawych punktów. W końcu zamknąłem oczy, wyczerpany, ale wtedy słońce nie nękało już ciała. Nie czułem ani głodu, ani pragnienia. Niczego nie czułem poza całkowitą obojętnością wobec życia i śmierci. Myślałem, że konam. I myśl ta wypełniła mnie dziwną i mroczną nadzieją.

Kiedy otworzyłem oczy, znowu byłem w Mobile. Było gorąco i duszno, więc poszedłem z kolegami z niszczyciela oraz Żydem Masseyem Nasserem, subiektem ze sklepu w Mobile, gdzie kupowaliśmy odzież, zabawić się na wolnym powietrzu. To właśnie on dał mi pocztówki. W ciągu tych ośmiu miesięcy, gdy trwał remont okrętu, Massey Nasser z poświęceniem realizował zamówienia

kolumbijskich marynarzy, a my w dowód wdzięczności robiliśmy zakupy tylko u niego. Mówił poprawnie po hiszpańsku, choć – jak nas zapewniał – nie był nigdy w kraju, gdzie by używano tego języka.

Tego dnia, jak w każdą sobotę, siedzieliśmy w kawiarni pod gołym niebem, gdzie bywali tylko Żydzi i kolumbijscy marynarze. Na podium z desek tańczyła ta sama dziewczyna, którą widzieliśmy co sobota. Miała goły brzuch i twarz osłoniętą welonem, jak arabskie tancerki w kinie. Oklaskiwaliśmy ją i popijaliśmy piwo z puszek. Najbardziej zadowolony był Massey Nasser, żydowski subiekt z Mobile, który wszystkim kolumbijskim marynarzom sprzedawał tanią i elegancką odzież.

Nie wiem, jak długo roiła mi się w tym odrętwieniu zabawa w Mobile. Wiem tylko, że nagle poderwałem się: już zmierzchało. Wtedy zobaczyłem w odległości mniej więcej pięciu metrów od tratwy olbrzymiego żółtego żółwia o cętkowanej głowie i z nieruchomymi, pozbawionymi wyrazu oczyma, którymi jak dwiema wielkimi szklanymi kulami wpatrywał się we mnie. Pomyślałem najpierw, że to przywidzenie, i wystraszony usiadłem na tratwie. Potworne zwierzę, mierzące od głowy do ogona chyba ze cztery metry, zanurzyło się w wodzie, gdy się poruszyłem, i zostawiło za sobą smugę piany. Nie wiedziałem, czy to jawa, czy złudzenie. I dzisiaj nie odważyłbym się tego rozstrzygnąć, choć przez parę minut widziałem, jak żółty olbrzymi żółw płynął za tratwą, wystawiwszy nad wodę swój straszliwy, poplamiony łeb, jakby wzięty wprost z jakiegoś koszmaru. Wiem tylko – bez względu na to, czy była to jawa, czy przywidzenie – że wystarczyłoby, aby lekko potracił tratwę, a przekoziółkowałyby kilka razy.

Straszliwy widok obudził we mnie dawny lęk. Lęk ten w jednej chwili pozwolił mi przyjść do siebie. Chwyciłem resztkę wiosła, usiadłem na tratwie i przygotowałem się do walki z potworem, tym lub każdym innym, który chciałby wyrzucić tratwę. Zbliżała się piąta. Reki, punktualne jak zawsze, zaczęły wypływać na powierzchnię.

Spojrzałem na burzę, na której zaznaczałem dni, i naliczyłem osiem kresiek. Przypomniałem sobie, że nie oznaczyłem dnia ostatniego. Naciąłem kreskę kluczami, przekonany, że będzie to już ostatnia, i wtedy ogarnęła mnie wściekłość i rozpacz, że trudniej mi umrzeć, niż

utrzymać się przy życiu. Rano byłem na granicy życia i śmierci. Wybrałem śmierć, a jednak żyłem dalej, z kawałkiem wiosła w dłoni, gotów walczyć o życie. Walczyć o to, na czym już mi zupełnie nie zależało.

Tajemniczy korzeń

Pod metalicznym słońcem, nękanym przez rozpacz i pragnienie, które po raz pierwszy było nie do wytrzymania, zobaczyłem rzecz niesłychaną: na środku tratwy leżał, zaplątany w siatkę, czerwony korzeń, podobny do tych, z których w Boyaca otrzymuje się barwnik, a którego nazwy nie pamiętam. Nie wiem, od jak dawna tu tkwił. W ciągu tych dziewięciu dni nie widziałem na morzu ani źdźbła trawy. A jednak, nie wiadomo w jaki sposób, korzeń zaplątał się w siatkę jako jeszcze jeden nieomylny zwiastun ziemi, której nigdzie nie mogłem dostrzec.

Mierzył ze trzydzieści centymetrów długości. Wyglądniały, choć już zbyt słaby, żeby myśleć o głodzie, beztrósco wpiłem się w niego zębami. Smakował jak krew. Wydzielał gęsty i słodki sok, który orzeźwił mi gardło. Pomyślałem, że ma smak trucizny. I dalej gryzłem, pożerałem ten zakrzywiony kawałek patyka, aż nie zostało po nim śladu.

Gdy skończyłem żuć, poczułem się trochę lepiej. Przyszło mi do głowy, że jest to gałązka oliwna, bo przypomniała mi się historia z Pisma Świętego, kiedy to Noe wypuścił gołębicę, a ta wróciła z gałązką oliwną na znak, że wody na ziemi zaczęły opadać. Pomyślałem, że gałązka oliwna przyniesiona przez gołębicę była właśnie taka jak ta, którą oszukałem swój dziewięciodniowy głód.

Można cały rok wytrwać na morzu, ale nadchodzi taki dzień, kiedy nie sposób już wytrzymać ani godziny dłużej. Wczoraj myślałem, że o świcie będę już na lądzie. Minęła doba i dalej widziałem tylko wodę i niebo. Niczego się już nie spodziewałem. Była to moja dziewiąta noc na morzu. „Dziesięć nocy konania”, pomyślałem ze strachem, pewny, że o tej porze mój dom w dzielnicy Olaya w Bogocie wypełniony jest przyjaciółmi naszej rodziny. Była to ostatnia noc uroczystości

żałobnych. Jutro rozbiorą ołtarz i z wolna zaczną przyzwyczajać się do mojej śmierci.

Nigdy aż do tej nocy nie straciłem do końca nadziei, że ktoś o mnie pamięta i chce mnie ratować. Kiedy jednak przypomniałem sobie, że jest to dla mojej rodziny dziewiąta noc żałoby, ostatnia noc żałobnych obrządków, poczułem się na morzu całkowicie zapomniany. I pomyślałem, że najlepiej byłoby umrzeć. Położyłem się na dnie tratwy. Chciałem powiedzieć na głos: „Więcej nie wstaję”. Ale głos uwiązł mi w gardle. Przypomniała mi się szkoła. Podniosłem do ust medalik z Matką Boską i zacząłem się modlić w myślach, jak to zapewne czynili teraz moi bliscy w domu. I było mi dobrze, bo wiedziałem, że umieram.

ROZDZIAŁ XI

W dziesiątym dniu nowe przywidzenie: ziemia

Dziewiąta noc była najdłuższa. Położyłem się na tratwie, a fale łagodnie uderzały o burtę. Nie byłem jednak pewny własnych odczuć. Po każdym rozbiciu się fali koło mojej głowy czułem, że katastrofa się powtarza. Mówią, że konający „przebiegają pamięcią całe własne życie”. Coś podobnego przytrafiło mi się owej nocy. Znowu byłem na niszczycielu, leżałem na rufie, między lodówkami i grzejnikami, z Ramonem Herrerą i widziałem na wachcie Luisa Rengifo, wszystko to w gorączkowym przypomnieniu południa z 28 lutego. Ilekroć fala rozbijała się o burtę, czułem, jak ładunek przesuwają się, jak idę na dno i starając się wydostać na powierzchnię, płynę ku górze.

Dziewięć dni morskiej samotności, udręki, głodu i pragnienia przewinęło się raz jeszcze, minuta po minucie, wyraźnie jak na kinowym ekranie. Najpierw wypadnięcie za burtę. Potem krzyki kolegów wokół tratwy, potem głód, pragnienie, rekiny i wspomnienia z Mobile, układające się w jeden ciąg obrazów. Starłem się zabezpieczyć przed wypadnięciem. Znowu widziałem siebie na rufie niszczyciela, gdy próbowałem przywiązać się, żeby nie porwała mnie fala. Zaciskałem więzy ze wszystkich sił, aż bolały mnie przeguby dłoni, nogi w kostkach, a zwłaszcza prawe kolano. I mimo tych mocno ściągniętych linek fala zawsze nadpływała i wlokła mnie na dno. Kiedy odzyskałem przytomność, płynąłem ku górze. Dusilem się.

Przed paroma dniami chciałem przywiązać się do tratwy. Tej nocy powinienem był to zrobić, ale nie miałem już sił podnieść się i poszukać linek siatki. Nie potrafiłem myśleć. Po raz pierwszy nie zdawałem sobie sprawy z własnej sytuacji. Uznać trzeba za cud, że fale nie porwały mnie tej nocy w takim stanie. Nie zauważyłbym tego.

Rzeczywistość mieszała mi się z majakami. Gdyby jakaś fala wyrzuciła teraz tratwę, myślałbym może, że jest to jeszcze jedno przywidzenie, wydawałoby mi się, że znowu wypadam za burzę niszczyciela – jak tyle już razy tej nocy – i w jednej sekundzie stałbym się w wodzie łupem rekinów od dziesięciu dni cierpliwie wyczekujących koło tratwy.

Znowu jednak tej nocy los mi sprzyjał. Leżałem bez czucia, przypominając sobie minuta po minucie dziewięć dni bezsenności i dopiero teraz mogę stwierdzić, że byłem wtedy taki pewny siebie, jakbym się mocno przywiązał do tratwy.

O świcie powiał chłodny wiatr. Gorączkowałem. Rozpalonym ciałem wstrząsały dreszcze przenikające do szpiku kości. Zaczęło mi dokuczać prawe kolano. Choć morska sól nie pozwalała zaognić się ranie, dawało o sobie znać od pierwszego dnia. Pilnowałem się, aby go nie nadwierać. Ale tej nocy, gdy wyciągnięty na brzuchu oparłem kolano o dno tratwy, rana zaczęła rwać boleśnie. Teraz mam podstawy sądzić, że rana ta uratowała mi życie. Jakbym przez mgłę zaczął odczuwać bolesne ćmienie. Z wolna odzyskiwałem świadomość własnego ciała. Wiem teraz, że przez wiele godzin mamrotałem coś bez sensu, rozmawiałem z kolegami i jadłem lody z Mary Address w jakimś lokalu z hałaśliwą muzyką. Po wielu niemożliwych do opisanego godzinach poczułem, że głowa mi pęka. Huczało mi w skroniach, bolały mnie kości. Rwało w kolanie unieruchomionym przez opuchliznę. Wydawało mi się większe, znacznie większe od reszty ciała.

Gdy zaczęło świtać, zrozumiałem, że jestem na tratwie. Nie wiedziałem tylko, od jak dawna. Z najwyższym trudem przypominałem sobie, że wyryłem na burcie dziewięć kresek. Nie pamiętałem jednak, kiedy naciąłem ostatnią. Wydawało mi się, że upłynęło wiele czasu od owego wieczoru, gdy zjadłem korzeń zaplątany między węzły siatki. A może był to sen? Czułem wciąż w ustach słodki i gęsty smak, ale kiedy zestawiałem w pamięci wszystko, co jadłem, nie mogłem go sobie przypomnieć. Nie przyszedłem jeszcze do siebie. Zjadłem go w całości, ale czułem w żołądku pustkę. Byłem bez sił.

Ile dni minęło od tamtej chwili? Wiedziałem, że świta, ale nie

potrafiłbym powiedzieć, ile nocy przeleżałem bez życia na dnie tratwy, wyczekując śmierci, jeszcze bardziej zwodniczej niż ląd. Niebo poczerwieniało, jak zawsze o zmierzchu. To była jeszcze jedna przyczyna tego zamieszania: nie wiedziałem, czy zaczyna się nowy dzień, czy też kolejny wieczór.

Ziemia!

Nękanym bólem kolana próbowałem zmienić pozycję. Chciałem się podnieść, ale nie mogłem. Czułem się tak osłabiony, że nie potrafiłbym chyba wstać. Poruszyłem więc tylko zranioną nogą, uniosłem się na dłoniach wspartych o dno i zwałem jak długi na plecy, z twarzą ku niebu i głową na brzegu tratwy. Niewątpliwie zaczynało świtać. Spojrzałem na zegarek. Była czwarta. Codziennie o tej porze badałem horyzont. Straciłem już jednak nadzieję na odkrycie lądu. Wpatrywałem się w niebo, które z jaskrawoczerwonego stawało się bladoniebieskie. Nadal było chłodno, czułem, że gorączkuję, a kolano rwało przejmująco. Było mi niedobrze, bo nie mogłem umrzeć. Opadłem z sił, ale wciąż jeszcze żyłem. Myśl ta obudziła we mnie uczucie zupełnego opuszczenia. Wierzyłem raczej, że tej nocy już nie przetrzymam. A mimo to męczyłem się jak dawniej, na tratwie, gdy nastał nowy dzień, jeszcze jeden daremny dzień ze słońcem nie do wytrzymania i stadem rekinów wokół tratwy po piątej wieczorem.

Kiedy niebo zaczęło błękitnieć, spojrzałem na widnokrąg. Jak wzrokiem sięgnąć rozciągała się spokojna i zielona woda. Ale na wprost tratwy, w porannym półmroku, ujrzałem długi, gęsty cień. Na tle czystego nieba odcinał się zarys palm kokosowych.

Ogarnęła mnie wściekłość. Wczoraj trafiłem na zabawę w Mobile. Potem zobaczyłem olbrzymiego żółtego żółwia, a w nocy byłem we własnym domu w Bogocie, w szkole La Salle de Villavicencio i z kolegami na niszczycielu. Teraz widziałem ziemię. Gdyby przywidziało mi się to przed czterema lub pięcioma dniami, szalałbym z radości. Odesłałbym tratwę do wszystkich diabłów i rzucił się do wody, by szybciej osiągnąć brzeg.

Ale w stanie, w jakim się znajdowałem, byłem już oswojony

z majakami. Palmy kokosowe były zbyt wyraźne, żeby uchodzić za prawdziwe. Czasami zdawało mi się, że są tuż koło tratwy. Innym razem widziałem je w odległości dwóch lub trzech kilometrów. Dlatego się nie cieszyłem. Dlatego utwierdziłem się tylko w moim pragnieniu śmierci, nim ostatecznie zwariuję od tych przywidzeń. Znowu skierowałem wzrok w niebo. Było teraz wysokie i bezchmurne, jaskrawobłękitne.

Za kwadrans piąta na horyzoncie pojawiła się słoneczna łuna. Kiedyś bałem się nocy, teraz moim wrogiem każdego nowego dnia było słońce. Potężnym i nieubłagany wrogiem zjawiającym się po to, by szarpać moją owrzodzoną skórę, a mnie samego doprowadzać do szału z pragnienia i głodu. Przekląłem słońce. Przekląłem dzień. Przekląłem los, który kazał mi dryfować dziewięć dni, zamiast uśmiercić z głodu lub rzucić na pożarcie rekinom.

Kiedy znowu było mi niewygodnie, odszukałem kawałek wiosła na dnie tratwy, żeby wyciągnąć się na nim. Nigdy nie mogłem zasnąć na zbyt twardej poduszce. A mimo to z niepokojem szukałem teraz kawałka połamanego przez rekiny drąga, by oprzeć na nim głowę.

Wiosło leżało na dnie, przymocowane do linek siatki. Odwiązałem je. Ułożyłem starannie pod obolałymi plecami i oparłem głowę o brzeg tratwy. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem wyraźnie w czerwonym słońcu, które zaczęło się podnosić, długi zielony zarys brzegu.

Zbliżała się piąta. Było bardzo widno. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ląd jest jawą. Wszystkie nie spełnione radości z poprzednich dni – radość na widok samolotu, świateł statku, mew i zabarwienia wody – ożyły gwałtownie, gdy zobaczyłem ziemię.

Gdybym zjadł teraz jajecznicę z dwóch jaj, porcję wędliny, kawę z mlekiem i chleb – pełne śniadanie na niszczycielu – nie czułbym się równie silny, jak po ujrzeniu tego, co uznałem za prawdziwy ląd. Poderwałem się jednym skokiem. Widziałem przed sobą wyraźnie cień brzegu i zarys palm kokosowych. Nie dostrzegalem świateł. Na prawo ode mnie, w odległości około dziesięciu kilometrów, pierwsze promienie słońca oświetlały metalicznym blaskiem przybrzeżne skały. Oszałały z radości chwyciłem resztkę wiosła i próbowałem skierować tratwę prosto ku brzegowi.

Obliczyłem, że dzielą mnie od niego dwa kilometry. Miałem okaleczone dłonie, a każdy ruch był torturą dla pleców. Nie po to jednak wytrzymałem dziewięć dni na morzu – dziesięć z tym, który się zaczynał – żeby zrezygnować teraz, kiedy miałem przed sobą ziemię. Spocilem się. Zimny poranny wiatr osuszył pot i spowodował rwący ból w kościach, ale nie przestałem wiosłować.

Ale gdzie leży ten ląd?

Nie było to wiosło do tratwy takiej jak moja. Był to zwyczajny kawałek drąga. Nie nadawał się nawet jako sonda do mierzenia głębokości wody. W ciągu pierwszych paru minut dzięki zadziwiającej sile, jakiej dodało mi podniecenie, udało mi się posunąć trochę do przodu. Potem jednak poczułem się znużony, uniosłem na chwilę wiosło, przyglądając się bujnej roślinności przede mną, i wtedy spostrzegłem, że prąd biegnący równoległe do brzegu znosi tratwę na skały.

Pożałowałem utraconych wiosła. Wiedziałem, że z jednym, całym, nie połamanym przez rekiny, jak to, które trzymałem w dłoniach, pokonałbym ten prąd. Przez parę chwil myślałem, że wystarczy mi cierpliwości, by doczekać, aż tratwa zbliży się do skał. Lśniły w pierwszym porannym blasku jak góry o metalicznych iglicach. Na szczęście tak bardzo pragnąłem dotknąć ziemi stopami, że oddaliłem od siebie tę myśl. Później dowiedziałem się, że jest to klif przy Punta Caribana i że gdybym pozwolił się nieść nurtowi, z pewnością roztrzaskałbym się o skały.

Próbowałem zmierzyć własne siły. Musiałbym płynąć dwa kilometry, żeby dotrzeć do brzegu. W dobrej kondycji mogę pokonać dwa kilometry w czasie krótszym niż godzina. Nie wiedziałem jednak, jak długo wytrzymam w wodzie po dziesięciu dniach głodowania (jeśli nie liczyć kawałka ryby i korzenia), z ciałem poparzonym od słońca i chorym kolanem. Była to mimo wszystko moja ostatnia szansa. Nie miałem czasu myśleć o rekinach. Puściłem wiosło, zamknąłem oczy i rzuciłem się do wody.

Kontakt z zimną wodą dodał mi sił. Z poziomego morza nie było

widać brzegu. Gdy tylko znalazłem się w wodzie, zrozumiałem, że popełniłem dwa błędy: nie zdjąłem koszuli i nie zawiązałem pantofli. Było to pierwsze, co należało zrobić przed opuszczeniem tratwy. Staralem się utrzymać jakoś na powierzchni. Zdjąłem koszulę i mocno obwiązałem się nią wokół pasa. Potem zawiązałem sznurowadła. Dopiero wtedy zacząłem płynąć. Najpierw rozpaczliwie. Potem spokojnie, czując, jak z każdym wymachem ramion tracę siły; w dodatku przestałem widzieć ziemię.

Nie posunąłem się nawet o pięć metrów, gdy poczułem, że pęka łańcuszek z medalikiem Matki Boskiej. Zatrzymałem się. Udało mi się go złapać, nim pogrążył się w zielonej i mętnej wodzie. Nie miałem czasu schować go do kieszeni, więc ścisnąłem tylko mocno zębami.

Opadłem już zupełnie z sił, a mimo to wciąż nie widziałem brzegu. Znowu zdjął mnie strach: a może – na pewno! – ziemia jest jeszcze jednym majakiem. Rześka woda pozwoliła mi przyjść do siebie i znowu panowałem nad własnym ciałem, płynąc rozpaczliwie ku urojonej plaży. Przepłynąłem spory kawałek. Nie sposób już było wracać na tratwę.

ROZDZIAŁ XII

Zmartwychwstanie na dziwnej ziemi

Dopiero po kwadransie rozpaczliwych wysiłków dostrzegłem ziemię. Dzielił mnie od niej jeszcze przeszło kilometr. Nie miałem już jednak najmniejszych wątpliwości, że nie jest to przywidzenie. Słońce złociło korony palm kokosowych. Na brzegu nie było świąteł. Nie było widać od strony morza żadnej osady, żadnej chaty. Ale był to ląd stały.

Przed dwudziestoma minutami czułem się wyczerpany, ale byłem pewny, że dotrę. Płynąłem pełen otuchy, starając się wskutek emocji nie utracić panowania nad sobą. Pół życia spędziłem w wodzie, lecz dopiero tego ranka dziewiątego marca zrozumiałem i doceniłem umiejętność dobrego pływania. Płynąłem do brzegu, czując, jak opuszczają mnie siły. W miarę jak się posuwałem do przodu, zarys palm kokosowych stawał się coraz wyraźniejszy.

Słońce pokazało się, kiedy pomyślałem, że mogę już dotknąć dna. Spróbowałem, ale było jeszcze za głęboko. To jasne, że nie miałem przed sobą plaży. Nawet przy samym brzegu było głęboko i musiałem cały czas płynąć. Nie wiem dokładnie, jak długo byłem w wodzie. Wiem tylko, że w miarę jak się zbliżałem do brzegu, słońce coraz bardziej prażyło mnie w głowę, choć nie sprawiało teraz bólu, ale jedynie rozgrzewało mięśnie. Po pierwszych paru metrach w lodowatej wodzie pomyślałem z lękiem o skurczu. Ciało rozgrzało się jednak prędko. Potem woda nie była już taka zimna. Płynąłem strudzony, jakby wśród mgieł, ale z otuchą i wiarą, jakiej nie zmogły głód i pragnienie, kiedy po raz drugi szukałem gruntu.

Widziałem doskonale gęste zarośla w ciepłym porannym słońcu. Pod stopami miałem już ziemię. To dziwne uczucie stąpać po ziemi po dziesięciu dniach dryfowania.

Szybko jednak zrozumiałem, że czeka mnie jeszcze najgorsze. Byłem skrajnie wyczerpany. Nie mogłem się utrzymać na nogach. Cofająca się fala gwałtownie spychała mnie w morze. Między zębami trzymałem medalik Matki Boskiej. Ubranie i gumowe pantofle ciążyły okrutnie. Ale nawet w takiej straszliwej sytuacji człowiek ma poczucie wstydu. Pomyślałem, że wkrótce mogę kogoś spotkać. I dlatego walczyłem z falami w ubraniu, choć przeszkadzało mi ono się poruszać, choć czułem, że omdlewam z wycieńczenia.

Woda sięgała mi powyżej pasa. Rozpaczliwym wysiłkiem udało mi się dotrzeć do miejsca, gdzie dochodziła tylko do ud. Dalej postanowiłem się czołgać. Wpiłem się dłońmi i kolanami w ziemię i podciągnąłem do przodu. Ale na próżno. Fale spychały mnie. Drobny i ostry piach rozdrapywał skaleczone kolano. Wiedziałem, że krwawi, ale nie odczuwałem bólu. Opuszki palców miałem zdarte do żywego ciała. I choć czułem, jak piasek boleśnie wciska się pod paznokcie, wpiłem się palcami w ziemię i próbowałem pełzać. Nagle raz jeszcze ogarnęło mnie przerażenie: ziemia i złociste palmy zakołysały się w słońcu. Pomyślałem, że jestem na ruchomych piaskach, które mnie wciągają.

Musiało to być jednak tylko złudzenie spowodowane wycieńczeniem. Myśl, że znalazłem się na ruchomych piaskach, dodała mi przedziwnej otuchy – otuchy grozy – i wśród bólu, bez odrobiny litości dla okaleczonych do żywego ciała dłoni czołgałem się spychany przez fale. Dziesięć minut potem wszystkie cierpienia, głód i dziesięciodniowe pragnienie wezbrały we mnie gwałtownie. Zwaliłem się skonany na ciepłą i twardą ziemię i leżałem, nie myśląc o niczym, nikomu nie dziękując, nie ciesząc się nawet, że dzięki sile woli, nadziei i nieubłaganej chęci życia dotarłem na tę cichą i nieznaną plażę.

Ślady człowieka

Pierwsze uczucie, jakiego się doświadcza na ziemi, to cisza. Zanim człowiek zda sobie sprawę z czegokolwiek, pogrąża się w wielkiej ciszy. W chwilę potem docierają dalekie i smutne uderzenia fali o brzeg. A potem szum wiatru między palmowymi liśćmi potęguje

wrażenie, że jest się na stałym lądzie. Wrażenie, że się ocalało, choć nie wiadomo jeszcze, w jakim miejscu kuli ziemskiej.

Kiedy znowu przyszedłem do siebie, zacząłem – wyciągnięty na plaży – badać okolicę. Przyroda wyglądała dziko. Instynktownie szukałem śladów człowieka. W odległości mniej więcej dwudziestu metrów od siebie zobaczyłem ogrodzenie z kolczastego drutu. Dostrzegłem wąską i krętą dróżkę ze śladami zwierząt. A obok ścieżki skorupy po rozłupanym orzechu kokosowym. Najbardziej błahy ślad ludzkiej obecności miał dla mnie w tej chwili wagę objawienia. Niezmiernie ucieszony przyłożyłem policzek do ciepłego piachu i czekałem.

Czekałem mniej więcej dziesięć minut. Powoli wracały mi siły. Było już po szóstej i słońce wisiało wysoko na niebie. Koło dróżki, między porzbijanymi skorupami leżały całe orzechy. Dowlokłem się do nich, oparłem o pień i ścisnąłem kolanami gładki i zwarty owoc. Jak przed pięcioma dniami w rybie, tak i teraz szukałem pożądliwie miękkich miejsc. Po każdym obrocie kokosa czułem, jak w jego wnętrzu bulgocze woda. Ten głęboki, gardłowy odgłos obudził we mnie pragnienie. Bolał mnie żołądek, zranione kolano krwawiło, a palce, odarte do żywego ciała, drżały w przewlekłym i głębokim bólu. W ciągu tych dziesięciu dni ani razu nie miałem uczucia, że oszaleję. Doświadczyłem go po raz pierwszy tego ranka, kiedy obracałem orzech, by się do niego dostać, i czułem, jak w moich dłoniach chlupocze woda, świeża i nieosiągalna.

Kokos ma trzy oka ułożone w trójkąt. Należy go jednak oczyścić maczetą, aby je odnaleźć. Miałem tylko klucze. Na próżno kilkakrotnie próbowałem nimi przedrzeć się przez chropowate i twarde łyko. W końcu poddałem się. Z wściekłością odrzuciłem owoc, w którego wnętrzu chlupotała woda.

Ostatnią szansą była ścieżka. Leżące obok pozbawione miąższu skorupy wskazywały, że ktoś przychodzi zbierać kokosy. Łupiny świadczyły, że robi to codziennie, że wspina się na palmy, a potem oczyszcza orzechy. Świadczyły również, że jestem w okolicy zamieszkałej, bo nikt nie pokonuje większych odległości po to tylko, żeby zebrać trochę orzechów.

Myślałem o tym, oparty o pień, kiedy usłyszałem – z bardzo daleka

– ujadanie psa. Natężyłem uwagę. Zamieniłem się cały w słuch. W chwilę potem usłyszałem wyraźnie metaliczny brzęk czegoś, co zbliżało się dróżką.

Ukazała się ciemnoskóra dziewczyna, niewiarygodnie szczupła, młoda i ubrana na biało. Niosła w ręku aluminiowy garnuszek, którego pokrywka, źle dopasowana, pobrzękiwała przy każdym kroku. „Do jakiego kraju trafiłem?”, pomyślałem na widok tej zbliżającej się Murzynki w typie mieszkanki Jamajki. Przypomniały mi się wyspy San Andres i Providencia. Przebiegłem pamięcią wszystkie wyspy Antyli. Ta kobieta była dla mnie pierwszą szansą, ale być może również ostatnią. „Czy rozumie po hiszpańsku?”, zastanawiałem się, starając się przeniknąć twarz dziewczyny, która beztrąsko, nie widząc mnie, szurała skórzanymi pantofelkami po zakurzonej ścieżce. Bałem się bardzo, by nie zaprzepaścić tej okazji, i dlatego przyszła mi do głowy nedorzeczna myśl, że gdybym przemówił po hiszpańsku, dziewczyna nie zrozumiałaby mnie i zostawiła na skraju drogi.

– Hello, hello! – zawołałem udręczony.

Dziewczyna spojrzała na mnie swymi wielkimi białymi i wystraszonymi oczyma.

– Help me! – krzyknąłem przekonany, że mnie rozumie. Zawahała się chwilę, rozejrzała dokoła i, przestraszona, rzuciła biegiem po ścieżce.

Człowiek, osioł i pies

Myślałem, że z żalu pęknie mi serce. W jednej chwili wyobraziłem sobie siebie martwego, rozszarpanego przez sępy. Ale wkrótce potem znowu usłyszałem psa, był coraz bliżej. Serce zaczęło mi łomotać, w miarę jak szczekanie stawało się wyraźniejsze. Wsparłem się na dłoniach. Uniosłem głowę. Czekałem. Minutę. Dwie. Ujadanie było słyhać coraz bliżej. Nagle zapanowała cisza. Potem szmer fal i szum wiatru między palmami. Później, po najdłuższej minucie w moim życiu, ukazał się chuderlawy kundel, a za nim osioł z dwoma koszami. Z tyłu kroczył biały mężczyzna, blady, w słomkowym kapeluszu i spodniach podkasanych do kostek. Na plecach miał karabin.

Gdy tylko pojawił się na zakręcie, spojrzał na mnie zaskoczony. Przystanął. Pies z uniesionym sztywno ogonem podbiegł i obwąchał mnie. Mężczyzna stał w bezruchu, milczał. Potem zdjął karabin, oparł kolbę o ziemię i dalej mi się przyglądał.

Nie wiem, dlaczego pomyślałem, że mogę być gdzieś na Antylach, ale nie w Kolumbii. Choć nie byłem pewny, czy mnie zrozumie, postanowiłem przemówić po hiszpańsku. – Niech mi pan pomoże! – powiedziałem.

Nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się we mnie zagadkowo, bez drgnienia powiek, z karabinem opartym o ziemię. „Jeszcze tylko brakuje, żeby mnie teraz ukatrupił”, pomyślałem chłodno. Pies lizał mi twarz, a ja nie miałem siły go odpędzić.

– Pomocy – powtórzyłem zgnębiony, załamany, myśląc, że może zrozumie.

– Co się stało? – zapytał z miłym akcentem.

Kiedy usłyszałem jego głos, zrozumiałem, że bardziej niż pragnienie, głód i rozpacz dręczyła mnie chęć opowiedzenia tego, co mi się przytrafiło. Dławiąc się nieomal słowami, wyrzuciłem z siebie jednym tchem:

– Jestem Luis Alejandro Velasco, jeden z marynarzy, którzy 28 lutego wypadli za burtę niszczyciela „Caldas” Kolumbijskiej Marynarki Wojennej.

Myślałem, że wszyscy powinni byli o tym wiedzieć. Myślałem, że gdy tylko podam swoje nazwisko, mężczyzna udzieli mi pomocy. On jednak nawet nie drgnął. Stał w tym samym miejscu i wpatrywał się we mnie, nie kłopotując się nawet o psa, który lizał mi zranione kolano.

– Jest pan marynarzem z kutra? – zapytał, mając może na myśli statki kabotażowe przewożące świnie i drób.

– Nie. Jestem z marynarki wojennej.

Dopiero wtedy mężczyzna poruszył się. Zarzucił karabin z powrotem na plecy, przesunął kapelusz do tyłu i rzekł: „Zaniosę drut do portu i wrócę po pana”. Czuję, że okazja znowu wymyka mi się z rąk. „Na pewno pan wróci?”, zapytałem błagalnym głosem.

Odpowiedział, że tak. Że wróci z całą pewnością. Uśmiechnął się

przychylnie i ruszył za osłem. Pies został, nie przestając mnie obwąchiwać. Dopiero gdy mężczyzna się oddalał, przyszło mi do głowy zapytać go prawie krzykiem:

– Jaki to kraj?

A on całkiem naturalnie udzielił mi jedynej odpowiedzi, jakiej się wówczas nie spodziewałem:

– Kolumbia.

ROZDZIAŁ XIII

Sześciuset mężczyzn odprowadza mnie do San Juan

Wrócił, tak jak obiecał. Nim czekanie zaczęło mi się dłużyć – w kwadrans od chwili gdy go zacząłem wyglądać – wrócił z osłem, pustymi koszami i ciemnoskórą dziewczyną od aluminiowego garnuszka, która, jak się potem okazało, była jego żoną. Pies nie odstępował mnie. Przestał mi lizać twarz i rany, przestał mnie obwąchiwać. Wyciągnął się obok mnie, nieruchomy, i drzemał, dopóki nie ujrzał zbliżającego się osła. Wtedy poderwał się i zamerdał ogonem.

– Może pan iść? – zapytał mężczyzna.

– Zobaczę – odparłem. Próbowałem wstać, ale nogi załamały się pode mną. „Nie może”, powiedział mężczyzna, chwytając mnie, bym nie upadł.

Razem z żoną usadowił mnie na osle. Podtrzymali pod pachy i popędzili zwierzę. Pies biegł w podskokach przodem.

Wzdłuż ścieżki ciągnęły się palmy kokosowe. Na morzu jakoś znosiłem pragnienie. Teraz, jadąc na osle wąską i krętą dróżką z palmami po bokach, czułem, że nie wytrzymam ani minuty dłużej. Poprosiłem o płyn z kokosa.

– Nie mam maczety – odparł mężczyzna.

Nie była to prawda. Miał za pasem maczetę. Gdybym wtedy był w stanie walczyć, odebrałbym mu ją siłą, rozłupałbym orzech i zjadł w całości. Później zrozumiałem, dlaczego mężczyzna odmówił mi wody. Poszedł do domu położonego o dwa kilometry od miejsca, gdzie mnie znalazł, rozmawiał tam z ludźmi i ci ostrzegli go, żeby nie dawał mi nic do jedzenia, dopóki nie zobaczy mnie lekarz. Najbliższy lekarz

był o dwa dni drogi, w San Juan nad zatoką Draba.

Przed upływem pół godziny dotarliśmy do domu. Wzniesiony byle jak, z desek, kryty cynkową blachą, stał tuż przy dróżce. Byli tam trzej mężczyźni i dwie kobiety. Wspólnie pomogli mi zejść z osła, zaprowadzili do sypialni i ułożyli na polowym łóżku.

Jedna z kobiet odeszła do kuchni, przyniosła garnuszek z gorącą wodą z cynamonem i przysiadła na łóżku, żeby mnie napoić. Po pierwszych paru łykach byłem załamany. Po następnych czułem, że nabieram otuchy. I wtedy nie chciałem już więcej pić, tylko opowiedzieć o tym, co przeżyłem.

Nikt tu nie słyszał o katastrofie. Próbowałem wytłumaczyć im, wyrzucić z siebie całą opowieść, aby wiedzieli, jak się uratowałem. Wyobrażałem sobie, że gdziekolwiek się znajdę, wszyscy będą tam wiedzieć o katastrofie. Rozczarowało mnie, że byłem w błędzie, a tymczasem kobieta dawała mi łyżeczką, jak choremu dziecku, wywar z cynamonu.

Wielokrotnie starałem się im opowiedzieć, co mi się wydarzyło. Czterej mężczyźni i dwie kobiety stali nieporuszeni przy łóżku i przyglądali mi się. Wyglądało to na jakąś ceremonię. Gdyby nie radość, że już nie grożą mi rekiny ani żadne inne niebezpieczeństwa czyhające przez dziesięć dni, myślałbym, że ci ludzie są z innej planety.

Dławiąc się własną historią

Życzliwość dającej mi pić kobiety nie dopuszczała jednak żadnych wątpliwości. Ilekroć próbowałem opowiedzieć o moich przygodach, mówiła:

– Proszę teraz milczeć. Opowie pan później. Zjadłbym wszystko, co by mi się nawinęło pod rękę. Z kuchni dochodził zapach gotującego się obiadu. Na nic jednak były wszystkie moje błagania.

– Jak zbada pana lekarz, wtedy damy jeść – odpowiadali. A lekarz nie przychodził. Co dziesięć minut podawano mi łyżeczkę słodzonej wody. Najmłodsza z kobiet, właściwie jeszcze dziewczynka, przemyła mi rany gałgankiem zamoczonym w ciepłej wodzie. Dzień wolno

mijał. I z wolna odczuwałem ulgę. Byłem pewny, że jestem wśród przyjaciół. Gdyby zamiast łyżeczek wody zaspokojono mój głód, organizm nie zniósłby takiego obciążenia.

Człowiek, który mnie znalazł, nazywa się Dámaso Imitela. O dziesiątej rano dziewiątego marca, w tym samym dniu, w którym dotarłem na plażę, wyjechał do pobliskiej osady Mulatos i wrócił z kilkoma policjantami. Oni również nic nie wiedzieli o katastrofie. Nikt w Mulatos o niej nie słyszał. Nie docierają tam gazety. W jakimś sklepie, gdzie zainstalowano silnik elektryczny, było radio i lodówka. Nie słuchano jednak dzienników radiowych. Jak się później dowiedziałem, gdy tylko Dámaso Imitela powiadomił inspektora policji, że znalazł mnie wycieńczonego na plaży, i że spadłem, jak twierdziłem, z pokładu niszczyciela „Caldas”, włączono silnik i cały dzień nasłuchiowano wiadomości z Cartageny. Ale tam nikt już nie mówił o katastrofie. Tylko we wczesnych godzinach nocnych napomknięto o tym krótko. Wtedy inspektor policji, wszyscy posterunkowi i sześćdziesięciu mężczyzn z Mulatos ruszyli mi na pomoc. Trochę po północy wdarli się do domu i zbudzili mnie swoimi głosami. Wyrwali mnie z pierwszego spokojnego snu, w jaki zapadłem w ciągu ostatnich dwunastu dni.

Przed świtem dom był pełen ludzi. Całe Mulatos – kobiety, mężczyźni i dzieci – zjawiało się, żeby mnie zobaczyć. Było to moje pierwsze spotkanie z rzeszą ciekawskich, nie odstępujących mnie ani na chwilę w ciągu następnych dni. Gromada ta niosła lampy i latarki na baterie. Kiedy inspektor z Mulatos i prawie cała jego świta dźwignęli mnie z pryczy, czułem, że rozdzierają mi skórę spaloną przez słońce. Po prostu wyrwali mnie sobie.

Było gorąco. Czułem, że duszę się w tym tłumie opiekuńczych twarzy. Kiedy wyszedłem na drogę, światła wszystkich lamp i latarek elektrycznych skierowały się na moją twarz. Oślepiłem na chwilę pośród tego zgiełku i wydawanych donośnie rozkazów inspektora policji. Nie miałem pojęcia, kiedy wreszcie dotrę do jakiegoś celu. Od dnia wypadnięcia za burtę wciąż podróżowałem w nieznanym kierunku. Tego ranka wędrowałem, również nie wiedząc dokąd, nie wyobrażając sobie nawet, co chce zrobić ze mną ten gorliwy i serdeczny tłum.

Opowieść o fakirze

Daleka i trudna jest droga z miejsca, gdzie mnie znalezione, do Mulatos. Ułożono mnie w hamaku zawieszonym na dwóch długich drągach. Po dwóch mężczyzn na każdym końcu drąga niosło mnie długą, wąską i krętą ścieżką oświetloną lampami. Szliśmy pod gołym niebem, ale było tak parno jak w zamkniętym pomieszczeniu.

Ośmiu mężczyzn zmieniało się co pół godziny. Dawano mi wtedy trochę wody i kawałeczki kruchego ciasta. Chciałem wiedzieć, dokąd mnie niosą, co chcą ze mną zrobić. Ci jednak rozprawiali o wszystkim. Mówili wszyscy, oprócz mnie. Inspektor kierujący tym tłumem nie dopuszczał do mnie nikogo i nie pozwalał ze mną rozmawiać. Z oddali słychać było pokrzykiwania, rozkazy, jakieś komentarze. Kiedy dotarliśmy do długiej uliczki w Mulatos, policja nie umiała sobie poradzić z tłumem. Była chyba ósma rano.

Mulatos to mała osada rybacka, która nie ma nawet połączenia telegraficznego ze światem. Najbliższym miasteczkiem jest San Juan nad zatoką Urabá, dokąd dwa razy w tygodniu przylatuje samolot z Monteria. Kiedyśmy przybyli do osady, pomyślałem, że w końcu dotarłem do celu. Pomyślałem, że tutaj dowiem się czegoś o swojej rodzinie. Ale Mulatos było zaledwie połową drogi.

Umieszczono mnie w jakimś domu, a wszyscy mieszkańcy osady ustawili się w kolejce, żeby mnie zobaczyć. Przypomniał mi się fakir, którego przed dwoma laty oglądałem w Bogocie za pięćdziesiąt centavos. Trzeba było przez kilka godzin stać w długim ogonku, żeby go zobaczyć. Kolejka przesuwawała się zaledwie o pół metra na kwadrans. Kiedy wreszcie wszedłem do pomieszczenia z fakirem zamkniętym w szklanej urnie, na nic już nie miałem ochoty patrzeć. Chciałem jak najprędzej wyjść, żeby rozprostować kości i odetchnąć świeżym powietrzem.

Jedyna różnica między mną a fakirem była ta, że on siedział w szklanym pudle. Fakir nie jadł od dziewięciu dni. Ja spędziłem dziesięć na morzu i jeden w łóżku, w jakiejś sypialni w Mulatos. Widziałem przed sobą przesuwające się twarze. Czarne i białe, w nie kończącym się ogonku. Upał był straszliwy. Czułem się już na tyle

dobrze, że wróciło mi poczucie humoru i pomyślałem, że przy wejściu ktoś mógłby sprzedawać bilety wstępu.

W tym samym hamaku, w którym niesiono mnie do Mulatos, dotarłem do San Juan de Uraba. Ale towarzyszący mi tłum zgęstniał. Szło teraz co najmniej sześciuset mężczyzn. Poza tym kobiety, dzieci i zwierzęta. Niektórzy podróżowali na osłach. Większość jednak pieszo. Wędrówka trwała prawie cały dzień. Odprowadzany przez ten tłum sześciuset zmieniających się po drodze mężczyzn, czułem, że stopniowo odzyskuję siły. Myślę, że całe Mulatos opustoszało. Od pierwszych porannych godzin pracował silnik elektryczny i radiodbiornik zalewał osadę muzyką. Przypominało to odpust. A ja, ośrodek i przyczyna tego festynu, leżałem wciąż w łóżku, podczas gdy cała osada defilowała przede mną, chcąc zobaczyć rozbitka. Był to ten sam tłum, który nie pozwolił mi wyruszyć samotnie i wędrował teraz w długiej karawanie do San Juan de Uraba, zajmując całą szerokość krętej drogi.

Podczas tej podróży dokuczał mi głód i pragnienie. Kawaleczki herbatnika, znikome porcje wtedy ożywiły mnie nieco, ale jednocześnie podsyciły głód i pragnienie. Wejście do San Juan przypominało ludowy festyn. Wszyscy mieszkańcy tego niewielkiego, wystawionego na morskie wiatry, malowniczego miasteczka wyszli mi na spotkanie. Przedsięwzięto już odpowiednie środki, aby nie dopuścić gapiów. Policji udało się powstrzymać tłum kłębiących się na ulicy, żeby mnie zobaczyć.

Był to kres podróży. Doktor Humberto Gomez, pierwszy lekarz, jaki mnie dokładnie zbadał, przekazał mi wielką nowinę. Nie powiedział mi tego przed oględzinami, bo chciał mieć pewność, że będę w stanie ją znieść. Klepiąc mnie dłonią po policzku i uśmiechając się życzliwie, rzekł:

– Awionetka jest już gotowa, żeby zabrać pana do Cartageny. Tam czeka na pana rodzina.

ROZDZIAŁ XIV

Moje bohaterstwo polegało na tym, że nie dałem się śmierci

Nigdy nie sądziłem, że człowiek może zostać bohaterem tylko dlatego, że wytrzymał dziesięć dni na tratwie bez jedzenia i picia. Nie mogłem postąpić inaczej. Gdybym miał tratwę z zapasem wody, hermetycznie pakowanymi sucharami, kompasem i sprzętem wędkarskim, z pewnością byłbym równie żywy jak teraz. Z jedną tylko różnicą: nie uważano by mnie za bohatera. A zatem bohaterstwo w moim przypadku polega wyłącznie na tym, że przez tych dziesięć dni głodu i pragnienia nie dałem się śmierci.

Nie zrobiłem nic, żeby zostać bohaterem. Ze wszystkich sił chciałem się uratować. Ponieważ jednak ratunek nadszedł wraz z aureolą, z tytułem bohatera, niczym z jakąś słodką i niespodzianą nagrodą, nie pozostawało mi nic innego, jak znosić ocalenie z całym tym bohaterstwem i resztą.

Pytają się mnie, co czuje bohater. Nigdy nie wiem, co odpowiedzieć. Ja czuję się tak jak przedtem. Nie zmieniłem się ani od zewnątrz, ani wewnątrz. Oparzeliney przestały mnie boleć. Rana na kolanie zablizniła się. Jestem znowu Luisem Alejandrem Velasco. I to mi wystarcza.

To ludzie się zmienili. Moi przyjaciele są teraz jeszcze większymi przyjaciółmi. Wyobrażam sobie, że wrogowie są jeszcze większymi wrogami, choć nie sądzę, abym ich miał. Kiedy mnie ktoś rozpoznaje na ulicy, gapi się jak na egzotyczne zwierzę. Dlatego ubieram się po cywilnemu, dopóki ludzie nie zapomną, że spędziłem na tratwie dziesięć dni o pustym żołądku.

Pierwsze wrażenie, jakiego się doświadcza, kiedy człowiek staje się

kimś ważnym, to uczucie, że przez całą dobę, w jakichkolwiek okolicznościach, ludzie chcą, żeby im opowiadać o sobie. Zdałem sobie z tego sprawę w Szpitalu Morskim w Cartagenie, gdzie postawiono strażnika, by nikt się ze mną nie kontaktował. Po trzech dniach czułem się zupełnie dobrze, ale nie mogłem opuścić szpitala. Wiedziałem, że kiedy mnie wypiszą, będę musiał opowiedzieć wszystkim moją historię, bo jak mi powiedzieli strażnicy, do miasta zjechali dziennikarze z całego kraju, żeby przeprowadzić ze mną wywiady i porobić zdjęcia. Jeden z nich, z niezwykle, dwudziestocentymetrowej długości wąsami, zrobił mi przeszło 50 fotografii, ale nie pozwolono mu zadawać mi żadnych pytań w związku z moją przygodą. Inny, zuchwalszy, przebrał się za lekarza, wyprowadził w pole strażnika i wdarł się do izolatki. Odniósł głośne i zasłużone zwycięstwo, choć znalazł się również w opałach.

Historia pewnego reportażu

Do mego pokoju mogli wchodzić tylko mój ojciec, strażnicy, lekarze i pielęgniarki ze Szpitala Morskiego. Pewnego dnia zjawił się lekarz, którego nigdy dotąd nie widziałem. Był bardzo młody, w białym kitlu, w okularach i z fonendoskopem na szyi. Wszedł niespodziewanie, bez słowa.

Dyżurny podoficer przyglądał mu się zaskoczony. Poprosił go o wylegitymowanie się. Młody lekarz przeszukał wszystkie kieszenie, zmieszał się trochę i powiedział, że zapomniał dokumentów. Wtedy dyżurny podoficer ostrzegł go, że nie może ze mną rozmawiać bez specjalnej zgody dyrektora szpitala. Poszli więc razem do dyrektora. Po dziesięciu minutach wrócili.

Dyżurny podoficer wszedł pierwszy i przestrzegł mnie: dostał piętnaście minut na zbadanie pana. To psychiatra z Bogoty, ale coś mi się widzi, że to raczej przebrany dziennikarz.

– Dlaczego pan tak sądzi? – zapytałem.

– Bo jest za bardzo wystraszony. Poza tym psychiatrzy nie używają fonendoskopów.

A jednak rozmawiał piętnaście minut z dyrektorem szpitala.

Dyskutowali o medycynie, o psychiatrii. Używali terminów lekarskich, bardzo złożonych, i szybko doszli do porozumienia. Dlatego udzielono mu zezwolenia na piętnastominutową rozmowę ze mną.

Nie wiem, czy to na skutek przestrogi podoficera, w każdym razie gdy młody medyk znowu wszedł do pokoju, już mi nie wyglądał na lekarza. Nie przypominał też reportera, choć nigdy dotąd nie widziałem prawdziwego reportera. Wydawało mi się, że to ksiądz w przebraniu lekarza. Myślałem, że nie wie, jak zacząć. W rzeczywistości jednak zastanawiał się, jak by się pozbyć dyżurnego podoficera.

– Czy byłby pan łaskaw zdobyć kartkę papieru? – powiedział.

Myślał chyba, że strażnik sam pójdzie do biura po papier. Ale ten miał rozkaz nie zostawiać mnie samego. Nie wyszedł więc, tylko wychylił się na korytarz i zawołał:

– Hej tam, szybko przynieście papier do pisania.

W chwilę potem już go miał. Minęło pięć minut, a lekarz nie zadał mi jeszcze żadnego pytania. Dopiero gdy dostał papier, rozpoczął badanie. Wręczył mi kartkę i poprosił, bym narysował okręt. Narysowałem. Potem poprosił, żebym podpisał rysunek; zrobiłem i to. Potem chciał, żebym narysował wiejski dom. Narysowałem dom najlepiej jak umiałem, z rosnącym obok platanem. Powiedział, żebym podpisał. Wtedy nabrałem pewności, że to przebrany dziennikarz. On dalej jednak udawał lekarza.

Kiedy skończyłem rysować, obejrzał rysunki, powiedział coś niejasnego i zaczął wypytywać mnie o moje przygody. Dyżurny podoficer wtrącił, że nie wolno zadawać takich pytań. Wtedy zbadał mnie, tak jak to robią lekarze. Miał zimne dłonie. Gdyby strażnik ich dotknął, natychmiast by go wyrzucił z pokoju. Nic jednak nie powiedziałem, bo jego zdenerwowanie i możliwość, że jest dziennikarzem, wzbudziły we mnie dużą sympatię. Przed upływem piętnastu minut, na jakie miał zgodę, wybiegł z pokoju z rysunkami.

Co to się działo nazajutrz! Rysunki ukazały się na pierwszej stronie „El Tiempo”, ze strzałkami i objaśnieniami. „Tutaj byłem ja”, mówił napis ze strzałką wskazującą mostek na okręcie. Był to błąd, bo nie byłem na mostku, ale na rufie. Rysunki były jednak moje.

Powiedziano mi, żebym ogłosił sprostowanie. Że mógłbym go podać

do sądu. Wydało mi się to niedorzeczne. Czułem szczerzy podziw dla reportera, który przebrał się za lekarza, żeby tylko wejść do wojskowego szpitala. Gdyby znalazł sposób na poinformowanie mnie, że jest dziennikarzem, wiedziałbym, jak oddalić strażnika. Bo prawdą jest, że od tego dnia miałem już zgodę na opowiadanie moich przygód.

Biznes z opowieścią

Przygoda z reporterem przebranym za lekarza uzmysłowiła mi, jak wielkie jest zainteresowanie dziennikarzy historią moich dziesięciu dni na morzu. Wszyscy byli nią zaciekawieni. Moi własni koledzy prosili raz po raz, abym ją opowiedział. Kiedy przyjechałem do Bogoty, wróciwszy już prawie zupełnie do zdrowia, zdałem sobie sprawę, że moje życie odmieniło się. Na lotnisku powitano mnie ze wszystkimi honorami. Sam prezydent wręczył mi odznaczenie. Gratulował niezwykłego wyczynu. Tego dnia dowiedziałem się, że pozostanę w marynarce wojennej, ale już w stopniu kadeta.

I było jeszcze coś, czego nie wziąłem pod uwagę: propozycje agencji reklamowych. Doceniałem to, że mój zegarek chodził dokładnie podczas całej tej odysei. Nie sądziłem jednak, że może się to przydać producentom zegarków. Mimo to dali mi pięćset pesos i nowy zegarek. Za to, że używałem gumy do żucia określonej marki i wyjawiałem to publicznie, dano mi tysiąc pesos. Los chciał, że producent moich pantofli za obwieszczenie tego w reklamie dał mi dwa tysiące pesos. Za zgodę na ogłoszenie mojej historii w radiu otrzymałem pięć tysięcy. Nigdy nie sądziłem, że spędzenie dziesięciu dni na tratwie o pustym żołądku będzie takim dobrym interesem. Ale tak właśnie było: otrzymałem dotychczas prawie dziesięć tysięcy pesos. Mimo to nie powtórzyłbym tej przygody nawet za milion.

Moje życie bohatera nie ma w sobie nic szczególnego. Wstaję o dziesiątej. Idę do kawiarni porozmawiać z przyjaciółmi albo do jakiejś agencji przygotowującej reklamę na podstawie moich przygód. Prawie codziennie chodzę do kina. I zawsze w towarzystwie. Nie mogę tylko wyjawić imienia tej dziewczyny, gdyż nie ma to ścisłego związku ze sprawą.

Codziennie otrzymuję z różnych stron listy. Listy od ludzi nieznanych. Z Pereira otrzymałem obszerny poemat o tratwie i mewach podpisany inicjałami J.V.C. Często piszę do Mary Address, która zamówiła mszę za spokój mej duszy, kiedy dryfowałem po Morzu Karaibskim.

Przysłała mi swoje zdjęcie z dedykacją, które czytelnicy już znają.

Opowiedziałem moją historię w telewizji i w programie radiowym. Opowiedziałem ją poza tym moim przyjaciołom. A także pewnej leciwej wdowie, która ma gruby album ze zdjęciami i która mnie zaprosiła do siebie.

Niektórzy mówią mi, że cała ta historia jest moim wymysłem. Pytam ich wtedy: więc co robiłem przez te dziesięć dni na morzu?

POSŁOWIE

Zdziwiłem się ogromnie, kiedy jeden z bliskich przyjaciół Garcii Marqueza powiedział mi, że autor *Stu lat samotności* zazdrości Cortazarowi jego literackiej swady: „Popatrz no, każdy tekst Julia jest inny, a u mnie wszystko jest zawsze takie samo...”, miał powiedzieć Kolumbijczyk. Czyżby dziennikarstwo było dla niego próbą stworzenia czegoś odmiennego, ucieczką przed twórczą monotonią? A może pytanie to jest źle sformułowane i sugeruje niewłaściwą odpowiedź? Może należałoby raczej ograniczyć się do faktów z życia pisarza i wnioski zostawić czytelnikom?

Garcia Marquez wyprowadza własne zainteresowania dziennikarskie ze swych młodzięcych pasji politycznych: „Zaczęło się to w szkole średniej; nauczyciel matematyki mówił nam o materializmie dialektycznym, chemik pożyczał prace Lenina, a fizyk stawiał dobrą ocenę, kiedy się rozumiało sens walki klasowej(...). Potem chciałem być dziennikarzem, pisać powieści i zrobić coś pożytecznego dla ludzi. Te trzy sprawy były, myślę teraz, nierozłączne i musiały prowadzić mnie drogą, jaką poszedłem”.

Rozpoczął pracę dziennikarską w „El Heraldo”, wydawanym w Barranquilla, i stąd przeniósł się do bogotańskiego „El Espectadora”. W 1955 roku ze wstępu do *Opowieści rozbitka* wiemy już, w jakich okolicznościach został korespondentem kolumbijskiej prasy w Paryżu, w rok potem w Caracas, a po zwycięstwie rewolucji kubańskiej związał się z Agencją Prensa Latina i przez jakiś czas był nawet jej wysłannikiem przy ONZ. Później zamieszkał w Meksyku. W 1967 roku – już po wydaniu *Stu lat samotności* – przeniósł się do Barcelony, aby po blisko dziesięciu latach wrócić do kraju. Jest wciąż niezwykle czynnym dziennikarzem i podejrzewam, że dla wielu Latynosów bardziej znanym jako autor entuzjastycznych reportaży z Kuby (ukazą się wkrótce pod tytułem *Życie codzienne na Kubie w okresie blokady*)

niż alkad sennego Maconda.

O dziennikarstwie politycznym powiada się, że jest w Ameryce Łacińskiej rekinem literatury: pożera pisarskie talenty, podporządkowuje je wymogom polityki i jej doraźnym racjom. To przedziwne zbliżenie – upolitycznienie literatury i literackości, albo lepiej, teatralizacja życia politycznego – stanowi jedną z najbardziej charakterystycznych cech współczesnej latynoamerykańskiej kultury. Pisarze ubiegłego stulecia, kiedy chcieli być ludźmi czynu, pisali polityczne pamflety i napastliwe artykuły; literaturę, a zwłaszcza poezję, pozostawili dla słowa nieskrępowanego, podporządkowanego tylko wyobraźni. Powieść boomu połączyła te dwie funkcje, a zespolenie w jedno wyobraźni i racji politycznych stało się szczególnie, by nie rzec, karykaturalnie widoczne w najmłodszej prozie iberoamerykańskiej. Żarliwość, z jaką ci młodzi pisarze bronią swych przekonań, jest czasami równie zadziwiająca, co niezłożoność ich myśli. Jeden z nich pytał w 1973 roku zuchwale: „Czy Garcia Marquez jest pisarzem, jakiego Ameryka potrzebuje?”, i ciskał gromy na „duchowe ubóstwo” (sic!) autora *Stu lat samotności*. Rewolucyjna demagogia stała się dziś pełnoprawnym bohaterem iberoamerykańskiej literatury, a polityka coraz bardziej zaczęła dzielić pisarzy. To właśnie Garcia Marquez obruszał się kiedyś, że na liście ministrów, ambasadorów i innych wysokich funkcjonariuszy oraz dostojników państwowych są prawie wszyscy jego koledzy, którzy w latach studenckich głośno rozprawiali o rewolucji. Może dlatego on sam nie zgodził się kandydować na stanowisko prezydenta Kolumbii. Jest natomiast wiceprzewodniczącym Trybunału Russella, współwydawcą lewicowego pisma „Alternativa”, sympatykiem południowoamerykańskich ruchów rewolucyjnych. Wiele podróżuje – kraje Ameryki Łacińskiej, Europa – często bywa w Paryżu, jednej z najludniejszych, jak się powiada, prowincji Chile. Mając na myśli sytuację w tym kraju, powtarza, że dopóki nie upadnie rząd Pinocheta, on nie napisze żadnej nowej powieści. (Czy można aż tak bardzo uzależniać własne pisanie od szaleństw historii? Widzę w tym przejaw myślenia magicznego a rebours: „skoro nie można zmienić rzeczywistości słowami, zakląć jej, należy odwrócić się od słów...”). Lubi też powtarzać, że nigdy nie wdał się w żadne akcje przeciw

Związkowi Radzieckiemu, Chinom, Kubie ani też jakiegokolwiek partii lub grupie lewicowej na świecie. Może dlatego amerykańska agencja UPI z taką gorliwością posłała w świat wiadomość o strajku personelu pisma „Alternativa”, domagającego się podwyżki płac (horrendum: lewicowy pisarz w roli obmierzłego kapitalisty!), i nie przeoczyła informacji o sporze między Garcją Marquezem i Vargasem Llosą, których niegdyś łączyła wielka przyjaźń i emigrancka niedola.

Światową sławę przyniosła Garcii Marquezowi przede wszystkim powieść *Sto lat samotności*. Wkrótce potem wydawcy (o których pisarz mówi, że są jego „klasowymi wrogami”) zainteresowali się wcześniejszymi książkami Kolumbijczyka. Zebrali również jego wczesne, pisane w latach pięćdziesiątych reportaże; Z mieszanymi uczuciami czytałem wybór opatrzony tytułem *Kiedy byłem szczęśliwy i nie nosiłem dokumentów*. Dziennikarstwo jest sztuką efemeryczną: nic nie traci sensu tak szybko jak artykuły w gazecie. Prasowe teksty umierają wraz z politykami (jeśli nie wcześniej) i wraz z nimi sprzeniewierzają się sobie. Fakty, z których są składane, tracą na znaczeniu, czas pozwala je interpretować coraz dowolniej i wykazuje, że niejedynym dziennikarskim wywód był uproszczony, oceny zawodne, a przepowiednie nie spełnione. Dzieje się tak zawsze, gdy ktoś – i myślę, że ta cecha różni dziennikarstwo od pracy pisarza – stara się mówić za innych, nie o sobie, ale właśnie w czyimś tam imieniu.

Garcia Marquez powiedział kiedyś, że powieści są jak sny: buduje się je z okrucichów rzeczywistości po to, aby powstała rzeczywistość nowa, odmienna. Z czego buduje się reportaże? Choć ironicznym tytułem (w którym szczęście wiąże z niechęcią do biurokracji) autor odcina się nie bez pewnej nostalgii od swych młodzieńczych tekstów, to przecież dalej pisze o polityce z nie mniejszym entuzjazmem. Wynika to, jak sądzę, z jego przekonania, że pewne racje polityczne są tak oczywiste, iż nie wymagają uzasadnień. Nadużywanie tej zasady grozi sprowadzeniem historii do manicheistycznego rejestru wydarzeń, w którym więcej będzie emocji niż trzeźwej, rzetelnej refleksji. Zresztą, kto wie, może to i lepiej... W każdym razie w przypadku Garcii Marqueza. Wyobrażam sobie jego radość, kiedy może opowiadać, że uciekającego w 1958 roku z Wenezueli generała M. Perez Jimeneza wciągano na linie do samolotu z takim pośpiechem, że

zapomniano o walizce dyktatora z trzynastoma milionami dolarów. I wesołość, kiedy pisze, że wkrótce potem zaprawieni w walkach z dyktaturą studenci wenezuelscy wysłali pocztą swym hawańskim kolegom paczkę babskich majtek. I dumę, gdy studenci kubańscy w rok potem zwrócili ten zawstydzający prezent...

Opowieść rozbitka zajmuje w twórczości Garcii Marqueza miejsce wyjątkowe i jeśli nawet jest tylko – jak skromnie powiada kolumbijski pisarz – dziennikarskim zapisem, to takim, który nie zestarzał się ani jednym zdaniem, ani jedną swą myślą. W opisie sytuacji skrajnych łatwo o wzruszenia banalne: wolny od nich jest ten wspaniały reportaż. I dlatego kiedy Alejandro Velasco – który nic zapewne nie słyszał o cierpieniach „dobrowolnego rozbitka” Alaina Bombarda – mówi: „I było mi dobrze, bo wiedziałem, że umieram”, wierzymy mu i jesteśmy wzruszeni, bo wiemy, że myśl ta zrodziła *Sto lat samotności* oraz *Jesień patriarchy*.

Rajmund Kalicki, 1980 rok